12 stron

Cena 10 zł.
(9 zł + 1 zł na Dom Słowa Polskiego)

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PONAD WSZYSTKIE WASZE UROKI,
TY POEZJO I TY WYMOWO,
JEDEN – WIECZNIE BĘDZIE WYSOKI:
ODPOWIEDNIE DAĆ RZECZY SŁOWO!
Cyprian Norwid

Rok 2 | Łódź, 28 października 1946 r. | Nr 42 (60)

KAZIMIERZ BRANDYS

DO PISARZY

Przemiany, jakie zachodzą w kierunku myśli ludzkiej, są tylko o tyle dowolne, o ile dowolna jest ewolucja rzeczywistości. Szaleńcy mogą mieć wpływ na dzieje, ale jest to wpływ zawsze pozorny. Przemiany lubią wysuwać szaleńców, nawet wysoko, ale źródła tych przemian są trzeźwe. Hitler nie stworzył hitleryzmu, podobnie jak Mussolini nie wynalazł faszyzmu. Trzeźwe przyczyny tych katastrof miały potężne zapotrzebowanie na szaleńców i łotrów różnego kalibru. To faszyzm szukał swych wodzów, nie odwrotnie. Nie wodzowie stworzyli przewód dla faszyzmu.

Ogrom katastrofy zrozumieliśmy jednak dopiero wówczas, gdy była gotowa. Hitler na placu Saskim w październiku 1939 r. zdumiał nas trochę. Ten szybko podrosły Antychryst z wąsikiem przybył nie wiadomo skąd. Pojęliśmy, że wypadki od pewnego punktu umieją toczyć się prędko. Nie znaczy to, aby wszyscy jednomyślnie zgodzili się na wspólną przyczynę zła. Z wyjątkiem tych, co dopatrują się jej w grzechu pierworodnym.

Czy była w tym nasza wina, że nie dostrzegliśmy w porę grożącego zła? Tak. — Jeśli za winę uznamy i tę, której ofiarą padamy sami. Jeśli za winę uznamy skłonność do lekarstw, które smakują. W chorobie. W ciężkiej chorobie. Byliśmy przecież jak pacjenci, którym grozi śmierć z upływu krwi, a którzy leczą się na serce, bo lubią walerianę. Czym była ta nasza waleriana? Wszystkim po trochu, niemal u każdego z nas: przyjemnym nawykiem, z którym tym bardziej trudno się rozstać, jeśli jest nawykiem myśli; zamiłowaniem do wewnętrznego status quo w obrębie naszego obrazu świata; niechęcią do wszystkiego, co burzy stabilność — tę stabilność, w której najprzytulniej pracuje wyobraźnia, myśl, przędzalnia i fabryka broni. Ale byłoby krzywdzące posądzać nas o świadomość wszystkich konsekwencyj naszej postawy. Właśnie w tym wina. Nie wiedzieliśmy. Nasza waleriana, to był konformizm wobec samych siebie, wobec świata, który, — wierzyliśmy w to — uleczy się w sposób najbardziej dla nas przyjemny. Wiele miała nas samych kosztować ta łatwowierność.

Pisząc „my" — mam na myśli pisarzy. Ową grupę ludzi dobrej woli, z których nie jeden wydał w okresie między wojnami dzieła wspaniałej wartości. Nasza literatura tego okresu nie była przecież mierna. Przeciwnie, nie łatwo by wskazać w dziejach naszego pisarstwa wiele dwudziestolecі równie nieprzeciętnych. Był to okres, który chętnie nazywa się u nas słowem „europejski". Istotnie, te dwadzieścia lat powieści, poezji, essayu otwierały u nas bogaty przystęp myślom współczesnej Europy, literatura polska stała się w tym czasie fragmentem bodaj współrzędnym w dziele o losie ludzkim, jakie tworzył wówczas świat. Nie wiem czy udałoby się wykryć w przeszłości inną epokę naszego pisarstwa, gdzie człowiek byłby ukazany w świetle praw i za pomocą środków tak podobnych do tych, które wprowadzała do literatury współczesna Europa — jak w owym okresie lat 1919 — 1939. A jednak myliliśmy się. Myliliśmy się wraz z Europą. Być może, iż jest w tym jakieś pocieszenie. Lepiej się mylić z Europą niż samemu.

Bo zwłaszcza u nas, w Polsce, sprawia ulgę myśl, że błędy, które odkrywamy we własnej przeszłości, nie są tylko polskimi błędami. Zbyt często myliliśmy się samotnie. Lubiliśmy nazywać się siostrą Francji, ale zawsze ta młodsza, lekkomyślna siostra to byliśmy my, to była Polska. Starsza siostrzyca była rozsądna, trzeźwa, bogatsza, mniej narażona na zaczepki. Unikała w przeszłości niebezpieczeństw, jakie czyhały na rodzeństwo ze strony wilków Europy. Była mądrzejsza — dlatego pewnie nazywaliśmy ją starszą siostrą. Dziś mamy tę odrobinę gorzkiej satysfakcji, że pewne błędy popełniała wraz z nami. Że — być może — popełnia je nadal, kiedy my szukamy z nich wyjścia.

W pierwszych miesiącach życia kulturalnego w Polsce po wyzwoleniu postawiono u nas postulat realizmu wobec twórczości literackiej. Postulat ten natychmiast został oceniony fałszywie, bez dobrej woli. Rozpoczęto z nim walkę, nie wiedząc jeszcze, o co się walczy i z czym się walczy. Zajęto wobec niego z miejsca pozycje obronne, widząc w nim coś w rodzaju przyszłego instrumentu przemocy, który wynalazł Borejsza w Lublinie. Tymczasem wystarczyłaby odrobina obiektywnej chęci zrozumienia, aby właściwie ocenić to, co było najprawdziwszą treścią tego hasła: niepokój o los naszej twórczości literackiej, lęk, czy potrafi ona znaleźć dla siebie wyjście z drogi, która jeszcze niedawno mogła wydawać się wielkim traktem rozwoju, a która po wojnie zaczęła grozić zaułkiem. Droga ta była drogą literatury europejskiej, dźwięczały na niej najlepsze, stare kruszce, — w tym jej bezsprzeczny dla nas wkład; ale zaułek, który groził, mógł nas zaszachować dotkliwiej niż innych; nie mamy tak potężnych rezerw kulturalnych, aby móc bezkarnie wytrzymywać kryzysy w tej dziedzinie.

Nie zechciano tych rzeczy zrozumieć. Może przyczyniła się do tego w pewnej mierze niejasność związana z samym terminem. Słowo „realizm" na gruncie artystycznym nie posiada jednoznacznej zawartości treściowej, jest trudne do zdefiniowania. Charakterystyczny był fakt, że większość dyskusji toczonych dokoła sprawy ograniczała się do wytyczenia zakresu samego pojęcia, ogrodzenia go od jego antytez — formalizmu, psychologizmu czy irracjonalizmu; jak gdyby nawet sojusznicy między sobą nie byli zupełnie zgodni w interpretacji bronionej tezy. Jeden z pisarzy, solidarnych z intencją postulatu, zapytany przez kolegę, co to jest realizm, odparł: „Realizm? Jest to nic więcej, jak okres prozy francuskiej w XIX-ym wieku". Zabawne i znamienne.

Ale nie oznacza to zmiany stanowiska. Grupa pisarzy, która dwa lata temu podjęła hasło realizmu, nie walczyła o nazwę. Powtarzam: treścią tego postulatu była i jest konieczność walki z samotnym ukazywaniem człowieka, oderwanego od rzeczywistych związków z swym otoczeniem społecznym. U źródła naszej postawy nie leży nic więcej, jak głęboka niewiara, aby wizje surrealistów potrafiły spełnić obowiązek sztuki naszego czasu. Bo lata, w których żyjemy, uginają się pod ciężarem spraw nierozwiązanych, niespisanych, niewyrażonych. Mamy na naszym koncie wielkie pytania, na które odpowiedź dotąd nie padła. Trudno nam się dziwić, że w dniach, które wyłaniają się zaledwie z nocy palenia tłumów ludzkich w komorach i kotłach — nie wierzymy w możliwość wyświetlenia dramatu człowieka przy pomocy kompleksu nabytego w dzieciństwie; dramatu podświadomości rozgrywającego się w świecie społecznie pustym, który równie dobrze może być światem fin de siècle, jak światem faszyzmu; dramatu dziejącego się w granicach progów psychicznych, szczelnie odgradzających człowieka od praw zbiorowości. Literatura taka, która wczoraj mogła być jeszcze nazwana elitarną, dziś musiałaby być osądzona surowiej. Wczoraj bowiem mogliśmy jeszcze być nieświadomi prawdy, dziś jednak mamy za sobą dni, które z pisarstwa gardzącego sprawami wspólnoty ludzkiej — czynią kłamstwo.

Zdaje mi się, że część naszych przeciwników tylko przez nieporozumienie zwalczała nasze tezy. Przypuszczam, iż w pewnych wypadkach obawiano się nie tyle konsekwencji naszego stanowiska, ile niebezpieczeństwa jego wulgaryzacji. Więcej: sądzę, że niektórzy pisarze dopatrywali się w tej postawie gotowych recept na literaturę propagandową, na literaturę złą. Jeśli więc przeciwnicy tacy istnieją rzeczywiście, niechaj śpią spokojnie. Jest dla nas bowiem niewątpliwe, że zła literatura nie może spełniać żadnej roli, — nawet — a może tym bardziej — propagandowej. Walcząc o złą literaturę w celach propagandowych, walczylibyśmy przeciw sobie. Jest niewątpliwe, że uważamy za fałszywą tę literaturę, która nazywa się katolicka tylko dlatego, że przedstawia księży w dodatnim świetle; zarówno jak i tę, którą nazywa się proletariacką tylko dlatego, że opisuje wyzysk robotników. Mamy prawo sądzić, że twierdzenia te nie są gołosłowne. Dziś po dwóch latach niemal od wyzwolenia kraju, po roku z górą od ostatniego zjazdu literatów w Krakowie, czy znalazłby się ktoś, kto z czystym sumieniem mógłby zarzucić lewicy polskiej popieranie pisarstwa bez wartości?

Nie dajemy recept i nie niszczymy dawnych. Myliłby się, kto sądzi, że pragniemy potępić bez reszty literaturę dwudziestolecia; pragniemy z niej wyciąnąć najlepsze możliwe dziś wnioski. Nie istnieją momenty w kulturze, w których można ją zaczynać od początku. Trwa ona zawsze z całym dobrem i złem inwentarza. W teorii literaturę polską mogłyby czekać dwie drogi: albo kontynuacja dawnych wartości, w sensie przezwyciężania ich nieużytków, przy zachowaniu ich dóbr; albo nowe pokolenie talentów, oderwane od przeszłości — coś w rodzaju natchnionych gigantów, na nowo tworzących obrazy świata. Wiemy dobrze, że druga szansa jest niemożliwa. Natchnieni barbarzyńcy jakoś się nie rodzą.

Co nas dzieli? Czy linia podziału polskiego pisarstwa biegnie tylko między literaturą dobrą a złą? Czy istnieje inna, ukryta lub podtrzymywana sztucznie?

Czasem zdarzają się znamienne aspekty rzeczywistości, przy czym zwłaszcza lubi komplikować widzenie spraw teraźniejszych. Historiografia musi wiedzieć konieczną sumę rzeczy prawdziwych i nie wiedzieć równie koniecznej sumy rzeczy prawdziwych, aby mogła kreślić wierne obrazy świata. Historyk współczesnej literatury polskiej wiedziałby wszystko, a więc wiedziałby za wiele. Mnogość drobnych zjawisk nie pomaga w oglądzie. Selekcja nie zawsze jest możliwa, ze względów nieraz czysto nerwowych. Z tych samych, obawiam się, względów niektórzy pisarze i publicyści dopatrują się w postulatach lewicy literackiej celów politycznych, chęci skrępowania twórczości pisarskiej „okowami dogmatów partyjnych".

Otóż właśnie dlatego, że tak nie jest, namiętna akcja pewnych publicystów w dyskusji wokół realizmu wydawała się tak smutnie śmieszna. Z postulatem krytyki literackiej walczono tam oburącz, jakby z taranem, który miał rozwalić bramy wież kościelnych! Gdyby Kott napisał był w owym czasie, że lubi tylko renety, publicysta prawicy zdarłby pióro na strzępy w obronie koszteli, w przeświadczeniu, że walczy o sutannę ks. Piwowarczyka!

Ale — i o tym trzeba pamiętać — mimo, że byłoby zabawne uważać postulaty wobec twórczości literackiej w Polsce za fragment akcji politycznej skierowanej przeciw opozycji, nie jest przypadkiem, że zostały one podniesione przez pisarzy związanych z obozem reformy; obóz ten bowiem walczy o świadomość społeczną najszerszych warstw narodu. W hermetyzmie integralnego psychologizmu czy formalizmu czytelnik rzadko kiedy mógł się dowiedzieć tych prawd o świecie, od których był zawisły jego los. To są prawdy dość proste w porównaniu z kompleksem Edypa, który nawiedził kogoś w siódmym roku życia, czy z libido w stosunku do strażaka. Są to prawdy dość proste w obrębie losu jednostki, bardziej zawiłe w zakresie losu grupy. Nie jest ujmą dla pisarza poświęcić im pióro. Doświadczenia, które przeżyliśmy, i te, które trwają, umacniają nas w przekonaniu, że świat podlega obrotom nie tylko astralnym, że przygody ludzkie na powierzchni ziemi są zawisłe nie tylko od ruchów wokół osi. Każdy cal, po którym stąpa człowiek, wraz z nim samym jest przedmiotem ścierania się sił i praw. Jest cechą godności rodzaju ludzkiego układać te siły i prawa w przyczyny i skutki poznawalne, budować je w system, ocalać wolność świadomości ludzkiej przed irracjonalną sferą pokory i lęku. Jest naszą tezą, że nie ma zjawisk na świecie, których by człowiek nie był w mocy poznać, i nie ma praw, które by mogły krępować jego sądy. Jest to zasada ambitna. Lecz tylko z tych założeń może rozwijać się postęp myśli ludzkiej.

Dlatego walka z indyferentyzmem, z postawą „au dessus de la mêlée", z apolitycznością — uważamy za nakaz współczesności. „Światopogląd wyrażony przy pomocy talentu" — tak określił jeden z krytyków — to, co nazywa dobrą prozą. Światopogląd — a więc świadoma postawa wobec rzeczywistości, odwaga w widzeniu jej prawd i wysnuwaniu z niej wniosków. O to walczymy w literaturze polskiej. Pisarz spotyka tu wielką okazję: podźwignięcia piórem spraw większych niż on, spraw, których jest cząstką. Może trudniej opisać społeczeństwo niż własną duszę. Powieść o przygodach grupy jest zapewne tęższą próbą dla talentu niż narracja o swym wnętrzu.

Niejeden z nas pisze te słowa przeciw sobie, wbrew swej prozie — bez wątpienia. Ale nie powinno to być przeciw nam argumentem. Droga do powieści, o jaką walczymy ,nie jest łatwa, wymaga trudnych przezwyciężeń i przełamania tego, co dotąd było nie raz najbardziej swoje i drogie. Nie zawsze nowy kształt czy myśl powstaje z nagłego błysku olśnienia; częściej droga jest mroczna, mozolna. Wiele czeka nas prób, niejedna może być nieudana — ale nie wolno nam gubić kierunku, który jest prosty: od siebie do świata — mimo że siebie znamy lepiej niż świat; mimo że świat jest trudniejszy dla naszego pióra.

Często słyszałem alarmy ze strony przeciwnej, że działalność kulturalna lewicy prowadzi do narzucenia literaturze polskiej obcych wzorów. Krótko mówiąc: wzorów z literatury sowieckiej. Otóż wątpię, czy słowo „wzory" w ogóle może być tu brane pod uwagę. Jasne — Balzak bliższy nam jest niż Chateaubriand, Stendhal, niż Huysmans czy d'Aurevilly, racjonaliści niż romantycy. Ale są to tylko kierunki, które wskazuje nasz kompas; kierunki, nie cele. Ich świat bliższy jest nam od innych, prawa jakie nim rządzą, potwierdził czas, a wiek, który nas dzieli, uczynił nasz stosunek do świata o tyle bardziej złożonym, o ile bardziej złożony stał się nasz świat. Owe różnice, które sprawiają, że przeszłość nie daje nam dokładnych recept, działają również w przestrzeni. Nie jest dziś do pomyślenia, zapożyczanie recept dla polskiej literatury skądkolwiek. Nasz Sezam artystyczny możemy otworzyć tylko własnym zaklęciem. Literatura sowiecka powstała w swoistych warunkach, wśród dalekich nam trudów i burz; nadal kształtują ją konieczności, które nam są obce. Struktura społeczno - gospodarcza, z jakiej wyrasta, jest inna niż nasza. Być może iż wiersze i powieści wyrosłe w kraju kołchozów, muszą być inne, niż tam, gdzie kołchozów nie ma.

Powinniśmy pamiętać o tym, że Polska jest w tej chwili krajem odmiennym od wszystkich krajów na świecie. Wybraliśmy dwa lata temu własne drogi rozwoju, nie tylko dla naszego przemysłu czy produkcji rolnej, ale i dla kultury, dla sztuki, dla myśli. Pokładamy nie mniejsze nadzieje w wysiłku materialnym jak w duchowym. Kultura polska opiera się dzisiaj o szeroką postawę społeczną, która uległa specyficznej przebudowie. Jest na co patrzeć, jest z czego wysnuwać nowe prawdy o życiu i człowieku. Być może, iż w tej chwili raczej my pracujemy dla świata, niż świat dla nas. Warto przypomnieć słowa cudzoziemca, wybitnego pisarza katolickiego Francji, Emanuela Mounier, który napisał po powrocie z Polski, że między Bugiem a Odrą odbywa się dziś wielkie doświadczenie socjalistyczne, które może stać się wzorem dla nowej chemii społecznej Europy.

Przed drugim zjazdem pisarzy polskich warto zważyć te słowa francuskiego intelektualisty. Brzmi w nich nadzieja lepszej przyszłości świata, do której Polska może się przyczynić.

EDWARD CSATÓ

BYŁY DWIE DROGI

Polemika z przemówieniem posła PSL, Z. Załęskiego na XI sesji KRN

SPRAWDZAMY JESZCZE RAZ

Ostatnia sesja KRN długo pozostanie w pamięci. Między innymi i z tego powodu, że sprecyzowała ona w najwyraźniejszy ze wszystkich dotychczasowych sposobów różnice istniejące pomiędzy „partiami bloku" a PSL-em. Sprawa ewentualnego przystąpienia tego ostatniego stronnictwa do wspólnego bloku wyborczego ciągnęła się długo i w poszczególnych okresach przybierała rozmaity charakter; można się było łudzić, mieć nadzieję, potem znów przeciw tym nadziejom protestować. Teraz skończyło się to wszystko. Zamiast przystąpić do bloku, Polskie Stronnictwo Ludowe ustami prezesa swego klubu poselskiego, pos. Załęskiego, dało partiom Reformy taką radę:

„Wejdźcie istotnie na drogę porozumienia, odprężcie nastroje walki, wprowadźcie w życie przepisy konstytucji i statutowe uprawnienia dla członków w zrzeszeniach i samorządzie, a będzie atmosfera do ustalenia wspólnego modelu Polski i wybory przestaną być węzłem gordyjskim. trudnym do rozwiązania".

Ta rada, jak i wogóle całe przemówienie posła Załęskiego (wydrukowane następnie w n-rze 263 „Gazety Ludowej" i mogące być uznane za przykład doskonałej prozy publicystycznej) wydają się godne szerszego zanalizowania.

*

Nie dlatego, aby przemówienie to wprowadzało jakieś zupełnie nowe, nieznane dotychczas argumenty; skoro zaś one nie są nowe, trudno odpowiedzieć na nie odkrywczymi kontrdowodami. O tych sprawach mówi się i pisze w Polsce od dość dawna i mówi się — naogół — zawsze to samo. Niektórzy uważają to za świadectwo pewnej słabości polskiej publicystyki; stanowisko takie jednak tylko w niewielkiej mierze potrafi wylegitymować się rzeczowymi argumentami. Oczywiście wciąż jeszcze mamy do czynienia (najbardziej może w prowincjonalnej prasie codziennej) z lękliwością czy ospałością publicystów; nieporównanie ważniejszą rolę odgrywa jednak w tej sprawie inne zjawisko. Oto ustaliły się już mniej więcej drogi, którymi toczy się polska myśl. Stanowiska precyzują się, koncepcje dotychczas sobie bliskie łączą się w mocnym przymierzu, koncepcje wrogie coraz jaśniej widzą podstawy swej odmienności. Publicystyka ma służyć prawdzie i dlatego w zanikaniu pozornych efektów (bardzo łatwych) gazeciarskiego indywidualizmu, kiedy to każdy niemal ambitniejszy skryba chciał głosić swój własny pomysł zbawiania Polski — na rzecz większej prostoty i łączenia się w kolektywy intelektualne, dostrzegamy wyższość naszego czasu.

Istotna siła nie polega bowiem na tym, aby dawać codzień coś innego, lecz na adekwantnym odzwierciedleniu tego stopnia zmiany, który miał miejsce w rzeczywistości; jeśli każda nowa analiza doprowadza nas do podobnych wniosków, nie martwmy się, że „powtarzamy wciąż to samo", bo zawsze powtarzamy owo „to samo" coraz lepiej.

Fakt zniweczenia koncepcji bloku wyborczego, zestawiony z argumentami przemówienia pos. Załęskiego, pozwala z większym niż dotychczas stopniem pewności sprawdzić słuszność naszych dotychczasowych sądów o linii politycznej PSL-u.

*

Stwierdziłem, że przemówienie to jest przykładem doskonałej prozy publicystycznej. Uważam tak dlatego, że jest ono taktowne, nie operuje płytkimi złośliwościami, jeśli zawiera ataki, to zasadnicze i zredagowane z dużą dbałością o uczciwość. Znaczy to po prostu, że przemówienie posiada wysoki poziom formalny — w tym sensie wyrażenia „poziom formalny", jakim posługujemy się, mówiąc o czyichś walorach towarzyskich. Do tych zalet należy dodać jeszcze jedną, dotyczącą strony językowej: jest ono napisane w sposób jasny i prosty, tak że (z nielicznymi wyjątkami) treść poszczególnych sformułowań nie powinna stać się przyczyną nieporozumień.

Nie podobna natomiast zgodzić się na metodę oceny polskiej rzeczywistości, którą posługuje się poseł Załęski i — co za tym idzie — na niektóre merytoryczne wnioski przemówienia.

Obok wymienionych poprzednio względów do polemiki niniejszej skłania mnie właśnie ów wysoki poziom formalny wypowiedzi przedstawiciela PSL-u. Zdaję sobie sprawę z tego, że taki poziom łatwo może złudzić czytelnika, nie zawsze skwapliwego do żmudnej pracy krytycznego analizowania tekstu. Ujmuje go przyjemny tok całości, nęci osobista kultura towarzyska mówcy. Zwłaszcza u nas w Polsce, gdzie wyraz „inteligencja" stał się synonimem przede wszystkim pewnej ogłady obyczajów. Kryje się w tym niebezpieczeństwo, łatwo uchwytne dla każdego, kto chce troszczyć się przede wszystkim o prawdę.

ŁADNE SŁOWA I ŁADNE UCZUCIA

„Chcieliście publicznego kajania się za grzechy Londynu, za zburzenie Warszawy, my zaś nie czuliśmy potrzeby tej spowiedzi, bo cierpiący i łaknący wolności naród za przeszłość nas rozgrzeszy, a nad przyszłością czuwa" — stwierdził pos. Załęski. Ale w jaki sposób naród rozgrzeszył? I jak czuwa? Oto są dwa powiedzenia, sformułowane bardzo efektownie, ale bez przytaczania dowodów. Dwa pewniki, tworzące wespół z innymi podstawę systemu politycznego PSL-u. Przyjrzyjmy się im dokładniej.

Czy cały polski naród „rozgrzeszył"? Gdyby tak interpretować treść powyższej wypowiedzi, okaże się ona po prostu zdaniem nieprawdziwym. W każdym bowiem razie nie rozgrzeszyli ci, którzy domagają się „publicznego kajania" (w rzeczywistości chodzi jedynie o przyznanie, że pewna polityka była fałszywa). A przecież nawet oceniając ich liczbę jak najskromniej — niepodobna poprostu wyrzucić ich z narodu polskiego. Chyba, że wyrażenie „naród polski", rozumie ktoś w sposób, wykluczający z niego cały Obóz Reformy; znamy takie rozumienie sprzed wojny, kiedy to nieprzytomne prawe skrzydło nacjonalistów odmawiało naszej lewicy (w którą włączało również z reguły i przedstawicieli programów chłopskich) prawa do polskości. Przy takiej interpretacji zdanie pos. Załęskiego okazuje się zatem albo fałszem albo poprostu tezą reakcyjną (w najbardziej uprawnionym i właściwym sensie tego wyrazu).

Może więc należy odrzucić wyraz „cały"; ale w takim razie cóż warte jest rozgrzeszenie, udzielone tylko przez pewien odłam. Klucz może by się znalazł w innym powiedzeniu z tej samej mowy: mianowicie pos. Załęski stwierdza, że „my lepiej znamy i czujemy duszę narodu". Takie wyrażenie jest niezbyt jasne i dlatego mogłoby dać okazję do obfitych złośliwości semantycznych, ale chcę być lojalny i dlatego próbuję je wytłumaczyć sobie w jedynie dostępny mi sposób. Mam wrażenie, że „dusza narodu" znaczy tu mniej więcej tyle, co po prostu „nastroje i tradycje panujące w społeczeństwie".

Znowu zmieńmy zbyt w tym kontekście zuchwały wyraz „społeczeństwo" na skromniejszą „dużą część społeczeństwa". Zauważymy wtedy, że jest to zapewne ta część, która popiera politykę PSL-u. Ale w takim razie cały sens uwag pos. Załęskiego, sprowadzałby się jedynie do stwierdzenia, że PSL rozgrzesza tych swoich przywódców, którzy ponoszą część odpowiedzialności za politykę „Londynu" i zniszczenie Warszawy...

Możnaby w podobny sposób zanalizować drugą część cytowanego zdania, tę, w której mówca PSL-u mówi o „czuwaniu nad przyszłością". Ale lepiej zostawmy te igraszki. Chodziło mi jedynie o podanie przykładu efektownej i zdawałoby się — bardzo „poczciwie" brzmiącej wypowiedzi, której prawdziwe znaczenie jest niewątpliwie znacznie mniej efektowne. Aby odkryć to prawdziwe znaczenie, trzeba zużyć pewną ilość energii na przeprowadzenie analizy. Obawiam się, że część społeczeństwa (będąca w każdym razie elementem grupy, na której „duszę" powołuje się PSL), nie zechce zadawać sobie tego trudu. Wystarczy jej powierzchowny, ujmujący wyobraźnię i „chwytający za serce" polor słów.

*

Nie zatrzymywałbym się dłużej nad tym przykładem, gdyby to był tylko jakiś wyskok, czy po prostu przejęzyczenie się mówcy. Ale sugerowanie lekkomyślnie formułowanymi opiniami i pięknie brzmiącymi frazesami odgrywa pewną istotną rolę metodologiczną — już nie tylko w przemówieniu pos. Załęskiego, i nawet nie tylko w wypowiedziach niektórych przywódców PSL, ale w ogóle w myśleniu poważnej części polskiego społeczeństwa. Dlatego zjawisko to jest takie groźne.

Nie chcę tu bronić wszystkich wypowiedzi obozu reformy. Bywa, że frazeologia lewicowych przemówień jest nieznośna. Ale to, co razi wówczas wyrobionego kulturalnie słuchacza, jest na ogół sprawą jedynie formy. To powierzchnia wydaje się chropawa i nieprzyjemna, ale metoda, kształtująca treść przemówienia czy rozprawy, pozostaje zawsze bezbłędna: racjonalna i empiryczna. Frazesy płyną górą jak kwiaty na wodzie, ale przyjrzyjmy się dokładniej — zauważymy łodygi i korzenie, wiążące te kwiaty z twardym podłożem; frazesy zaś tego drugiego typu są jak kwiaty zerwane i rzucone na powierzchnię strumienia: prąd zawlecze je z sobą niewiadomo dokąd.

To jest ów specyficzny odcień humanitaryzmu, z którym nowoczesny człowiek nie może się pogodzić. Humanitaryzm ten może być lewicowy czy prawicowy, łączyć go będzie zawsze formalistyczny kult pięknego słowa czy gestu. Z tego kultu uczynił on sobie metodę, prowadzącą go jakoś wśród zaułków rzeczywistości — tak samo, jak racjonalistę wiedzie jego analiza, a empiryka doświadczanie faktów. Przepraszam, nie tak samo: różnica jest ta, że jego metoda nie wiedzie ostatecznie do nikąd.

*

„Wojny mamy dość, pragniemy pokoju, by zabliźnić rany, odbudować ruiny i zgliszcza i oddać się pokojowej twórczej pracy, niosącej narodowi sprawiedliwy ład i dobrobyt; zaś światu radość wolnego od strachu i nędzy człowieka". — To ładne, jako początek albo koniec deklaracji, ale istotna treść powinna zawierać się w czymś innym: w wyjaśnieniu, jakie są — zdaniem wypowiadającego deklarację — drogi dojścia do owego idealnego stanu rzeczy. Wtedy dopiero program uznajemy za pełny i możemy poddać go krytyce.

Większość wymienionych tu określeń dotyczy sfery ekonomicznej działalności człowieka. Zdawać by się więc mogło, że dalsza analiza utrzymana będzie również w tej samej sferze. Ale nie: zaraz w dalszym ustępie przechodzi pos. Załęski znów do spraw politycznych, których nie porzuca już do końca swego wywodu. Oczywiście. nie czynimy z tego zarzutu mówcy, który zgodnie z zamierzeniami w ten właśnie sposób rozplanował swoje przemówienie i nie miał najmniejszego obowiązku zajmowania się kwestiami gospodarczymi. Zauważymy jedynie, że jako polityczna deklaracja (w myśl intencji autora nacisk położyć należy na słowa „wojny mamy *dość, pragniemy pokoju*" i ten zwrot łączyć z dalszym tokiem przemówienia) — jako deklaracja te słowa nie posiadają znaczenia; są zaledwie wypowiedzeniem pewnych pragnień. Wiemy przecież, że samo pragnienie nie może dać nam pokoju, twórczej pracy, sprawiedliwego ładu i dobrobytu...

Takie deklarowanie pragnień może mieć jednak w polityce pewne znaczenie uboczne, ukryte poza treściami wypowiedzianych explicite słów. Dzieje się tak, gdy pragnienie owo pokrywa się z dążeniami przeważającej masy społeczeństwa, przed którym deklaracja jest wygłaszana. Już samo jej wypowiedzenie w dowolnym (w rozsądnych granicach) kontekście nasuwa domysł, że ma ona z tym kontekstem coś wspólnego; w ten sposób deklarowanie popularnych uczuć wzmacnia tekst, który by w innych warunkach nie był może taki popularny.

Już poza mową posła Załęskiego: PSL ma takich „chwytających za serce" zwrotów co niemiara. I rzeczywiście „grają" one z nastrojami niemałej części społeczeństwa. Do pewnego stopnia jest to wynikiem faktu, że pewne tendencje tego stronnictwa pokrywają się (przynajmniej w opinii niektórych) z nieuprawnionymi, nerwowymi pretensjami narodowymi, będącymi skutkiem naszych trudnych losów; poza tym PSL głosi się jedynym legalnym w Polsce heroldem haseł, najzupełniej uprawnionych i słusznych, ale wyznawanych — tylko w bardziej racjonalny, spokojny sposób — przez wszystkie demokratyczne partie. Tak na przykład ma się rzecz z postulatami wolności i „demokracji politycznej".

NAJWAŻNIEJSZY PROBLEM PSL-u

Liberalizm polityczny. Poszanowanie prawa wolnego człowieka i obywatela. „Swobodny rozwój każdej jednostki jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich".

Dobrze. Ale ten ostatni cytat nie jest wyjątkiem z przemówienia pos. Załęskiego. Nie jest w ogóle z PSL-u. To fragment z „Manifestu komunistycznego" Marksa i Engelsa.

Nikt tak długo, uporczywie i konsekwentnie nie walczył o polityczną wolność człowieka jak ruchy i organizacje lewicowe. Dla nikogo kwestia demokratycznej praworządności nie była sprawą tak wielkiej troski. Dziś nam mówią: „wy usprawiedliwiacie stosowanie dyktatury — jedni na stałe, drudzy czasowo, my jesteśmy jej przeciwni. My chcemy pełnego panowania prawa".

Nie uważam, aby PSL miał prawo dawać nauki demokracji polskiej lewicy. Ale zimno robi mi się na myśl, że podobne „nauki demokracji" usiłują dawać obozowi reformy nielegalne gazetki polskiego podziemia.

*

Walka o demokrację polityczną ma dwa aspekty: chwilowy i ogólny. W aspekcie pierwszym Figaro walczy o wolność słowa, bo chce się wygadać; drażni go, że nie wolno mu powiedzieć kilku soczystych impertynencji pod adresem hrabiego Almavivy. W aspekcie drugim walka o wolność słowa to praca nad takim urządzeniem świata, aby nikt nikomu nie mógł zabronić mówienia rzeczy uczciwych, mądrych i słusznych. Często mylimy ze sobą te dwa zupełnie odmienne punkty widzenia i powstaje z tego niemałe zamieszanie. Obawiam się, że w wypadku PSL-u w dużej mierze mamy do czynienia z taką pomyłką.

Nie ma mowy, aby ktokolwiek w Polsce usprawiedliwiał stosowanie dyktatury; ani czasowo, ani tym bardziej na stałe. Prawicowy korespondent angielskiej agencji nazwał ustrój Polski „pół-dyktaturą", nie czując się widocznie w swoim sumieniu uprawnionym do użycia mocniejszego wyrazu. Sumienie PSLu jednak na to pozwala, z tym dodatkiem, że dyktatura ta ma być zapewne ową sławną „dyktaturą proletariatu". — Nie. „Dyktatura proletariatu" to rządy w interesie proletariatu; Polską zaś nikt nie rządzi dla dobra jednej tylko klasy. I u nas i za granicą mówiło się wiele o swoistym polskim „modelu gospodarczym" i opinie brzmią na ogół jednakowo: polega on na kompromisie planowej gospodarki socjalistycznej z liberalną gospodarką kapitalizmu. Model polityczny Polski da się określić podobnie.

Linie rozwojowe tych dwu schematów możnaby uznać za „odwrotnie proporcjonalne" wobec siebie: w miarę utrwalania się planowości w naszej gospodarce zwiększać się powinien zakres swobód politycznych. Działalność ludzka, zmierzająca w ten sposób do spowodowania nowego stanu rzeczy w pewnym społeczeństwie, nazywamy reformowaniem tego społeczeństwa; lewica w Polsce dąży zatem drogą reform do zrealizowania u nas swobód demokratycznych. PSL. wybrało inną drogę — za pomocą walki politycznej i nacisku na partie lewicowe usiłuje zapewnić Polsce wolność myśli i słowa; ta droga ma jednak pewną słabą stronę, którą historia zna doskonale z wielowiekowego doświadczenia. Walka polityczna zapewnia mianowicie wolność jednej tylko grupie społecznej — tej, która tę walkę wygrała. System PSL-u nie może prowadzić do ulepszenia demokracji, a jedynie do przetasowania sił.

*

Walka PSL-u o „demokrację polityczną" ma jeszcze jeden aspekt, na który już niejednokrotnie wskazywano i który wobec tego poruszę tu tylko mimochodem — dla pełni obrazu. W naszym kraju nie mamy mianowicie możliwości wyboru pomiędzy demokracją ludową, a demokracją polityczną. Wybierać możemy pomiędzy demokracją taką, jaka jest, ze wszystkimi brakami i niedociągnięciami, ale równocześnie z nieograniczonymi perspektywami ulepszania tych braków — a faszyzmem. Nie ma u nas miejsca na samodzielnie kierujące państwem partie środka; rolę takiej partii mógł odegrać jedynie blok.

„Mówicie — stwierdza pos. Załęski — o popularności wśród reakcji społecznej, za którą trzeba płacić. To nie jest istota sprawy — to jest popularność przede wszystkiem u zatroskanego o wolność narodu".

Jeśli PSL deklaruje, że nie cieszy się ze swojej popularności wśród reakcji, trzebaby jeszcze, aby podziemie zadeklarowało niechęć do swej popularności w PSL-u. Bo w tym wypadku nie tyle chodzi o PSL, ile właśnie o owo podziemie. I wcale nie o jakiś abstrakcyjnie uczuciowy stosunek niechęci części naszego społeczeństwa do lewicy społecznej i ZSRR, ale po prostu o fakt, że folgowanie tej niechęci prowadziłoby bardzo daleko — aż do najkonkretniejszej na świecie zguby naszego kraju.

Głoszenie haseł liberalizmu politycznego na złość obozowi rządzącemu nie doprowadzi wcale do zwiększenia tego liberalizmu; dlatego wątpię, czy walka polityczna pod sztandarami demokratycznych swobód (akcent należy położyć na słowie „walka", bo samo dążenie do stałego powiększania tych swobód jest najzupełniej

słuszne) może mieć dziś w Polsce inne znaczenie poza zdobywaniem sobie lepszych pozycji. Na nieszczęście te „lepsze pozycje" — w ten sposób wywalczone — okazałyby się pozycjami wypadowymi dla grup nowych, które zapragnęłyby zjeść zarówno nas jak i PSL.

TYTUŁ DO WYDATNIEJSZEJ ROLI

Przemówienie posła Załęskiego pełne jest aluzji historycznych. O umowie moskiewskiej dowiadujemy się np. co następuje: „Oceniliśmy krytycznie układ, gdyż zdawało się nam, że mamy tytuł do wydatniejszej roli, niż przypadła nam w udziale". O tę wydatniejszą rolę walczy PSL nieprzerwanie od początku swego istnienia. Tu jest źródło propagowanego przez to stronnictwo liberalizmu politycznego i zmiany charakteru organizacji z chłopskiej na ogólno-narodową. Stąd wynikła również niechęć PSL-u do głoszonej przez inne partie demokratyczne zasady bloku wyborczego sześciu stronnictw.

Nie wyobrażam sobie, aby istniała partia polityczna, nie pragnąca odgrywać wybitniejszej roli w społeczeństwie, niż ta, która jest w danym momencie jej udziałem. W życzeniu PSL-u zatem nie należało by dopatrywać się niczego nadzwyczajnego. Chodzi jedynie o to, jaką drogę partia obiera w swoim dobijaniu się większych wpływów.

Możemy być pewni, że np. Polskiej Partii Socjalistycznej postanowienie pójścia do wyborów w bloku stronnictw demokratycznych wcale nie przeszkodzi w dążeniu do stałego powiększania swoich sił i odgrywania coraz większej roli w życiu kraju. Jest również jasne, że program społeczno-polityczny PPS niezupełnie pokrywa się z takim samym programem SL-u czy SD. A jednak te partie poszły do bloku, a PSL nie.

*

PSL mogło koncepcję bloku przyjąć albo odrzucić. Były dwie drogi do wyboru i decyzja władz naczelnych tego stronnictwa jest *niewątpliwie owocem swobodnego i dobrze rozważonego namysłu. Jest ona* zresztą zgodna z całą dotychczasową linią polityczną tych władz.

Linia ta dałaby się w wielkim skrócie opisać mniej więcej tak: PSL domaga się od swoich partnerów pewnych ustępstw. W razie *odmowy przeprowadza* walkę, *manifestując* swój już nie krytyczny, ale wręcz opozycyjny stosunek do t. zw. „obecnej rzeczywistości" — w sposób znany nam z akcji „referendum". Odpowiedzi negatywnej na pierwsze pytanie nie podyktowały wówczas na pewno Polskiemu Stronnictwu Ludowemu względy merytoryczne; w wydawanych przez siebie czasopismach samo zresztą przyznawało się do tego. To był jeden z fragmentów walki PSL-u o wpływy w Polsce. Pozostawiam tu na boku kwestię samej słuszności celów tej walki; ale czy można się dziwić, że zwiększa ona wzajemną wrogość partnerów i przynosi niepożądane rezultaty?

Wystąpienia mówców PSL-u na XI sesji KRN były wynikiem tego samego typu myślenia politycznego. Protesty, manifestacje niechęci; a potem w rozgardiaszu walki otwiera się nagle okno parlamentariusza i poseł Załęski wypowiada piękne przemówienie, nawołujące przeciwnika nietyle do zgody, ile do ustępstw.

*

Dotarliśmy w ten sposób do zdania, z którego uczyniłem pierwszy cytat mojej polemiki. „Wejdźcie na drogę porozumienia, odprężcie nastroje walki". Zdanie to brzmi na pozór bardzo prosto, w rzeczywistości jest ogromnie zawiłe.

Aby je dokładniej zanalizować, trzeba odwołać się do historii. Ale w inny sposób, niż to uczynił w swoim przemówieniu pos. Załęski.

Zastrzegam się jeszcze raz, że polemika moja tylko pozornie wymierzona jest przeciwko jednemu z przemówień na ostatniej sesji KRN-u. Gdyby tak było, mam wrażenie, byłaby ona już dziś nieaktualna. Chodzi nie o konkretne, wypowiedziane wówczas myśli pos. Załęskiego, ale o styl myślowy, nastroje, metody i tendencje, panujące w kierownictwie PSL-u. Przemówienie pos. Załęskiego było ich doskonałym wyrazem. Jego sposób patrzenia na historię również uznać trzeba za charakterystyczny.

Historia ostatnich lat Polski, którą opowiada mówca, traktuje nie o zdarzeniach politycznych i społecznych, lecz o nastrojach, związanych z tymi wrażeniami. Nastroje, panujące w społeczeństwie S w okresie O, są również jakimś kompleksem zdarzeń społecznych, z którym rozsądny polityk powinien się liczyć. Zdarzenia historyczne tego typu nie są jednak zjawiskami niezależnymi i dlatego też zachowują one swój walor znacznie krócej, niż zdarzenia, przebiegające w objektywnym świecie systemów technicznych, gospodarczych i prawnych.

„Nastrojowo" rzecz biorąc, omawiane zdanie jest całkowicie słuszne. Może je zwrócić PSL'owiec do lewicy, może i obóz reformy do PSL'u. Wywiązałaby się pewnie z tego potem długa i zawiła dyskusja, w której jedna strona przekonywałaby drugą, że „to wy właśnie przeszkadzacie porozumieniu". Można by ciągnąć tę zabawę bardzo długo, bo jasne jest, że w trakcie dotychczasowej współpracy nazbierało się po obu stronach sporo niechęci. Ale przecież to nie może być najważniejsze.

KTO PRAGNIE POROZUMIENIA

Bezkształtną i uległą w swoich reakcjach masę tłumu można sprowokować do zamordowania człowieka albo do wykonania jakiegoś szlachetnego czynu. Być może, że to pierwsze dałoby się osiągnąć znacznie łatwiej i że tłum przy wykonaniu zbrodni okazałby znacznie większy entuzjazm i nieporównanie doskonalszą sprawność techniczną; czy to wystarczy do zakwalifikowania pierwszego zdarzenia wyżej od drugiego? Uważamy raczej, że nie i że o wartościowaniu tego typu czynów decydują jakieś merytoryczne względy etyczne. Zgodnie z tym twierdzimy, że politykowi nie wystarczy powoływanie się na nastroje, lecz powinien używać argumentów bardziej obiektywnych.

Przywódcy PSL wstąpili do rządu polskiego w momencie, gdy zasadnicze reformy gospodarcze i społeczne zostały już postanowione i w dużej części zrealizowane. Można lewicy polskiej zarzucać to i owo, ale te reformy pozostaną na zawsze jej zasługą. Nie tylko samo przeprowadzenie, ale i obrona ich przed różnego rodzaju atakami. Ta walka wciąż jeszcze trwa i dziś naczelnym hasłem obozu postępu jest, że można zgodzić się na wszystko, co dokonane reformy utrwali a przynajmniej im nie zaszkodzi, a nie można zgodzić się na nic innego. Na tej podstawie kształtowała się rzeczywista historia ostatnich lat naszego kraju, a z nastrojami było rozmaicie: raz przeważał stosunek pozytywny, to znów trzeba było iść czemuś na przeciw. Zależało to przeważnie od środowiska, którego nastroje zechcemy wziąć pod uwagę.

Rozumiemy stanowisko faszystowskiego podziemia: walka z lewicą łączy się tam konsekwentnie w jedną całość z ustosunkowaniem zdecydowanie negatywnym wobec reform. PSL usiłuje nas przekonać, że te reformy aprobuje i potwierdza, nie godząc się jedynie z niektórymi metodami ich przeprowadzenia. Dobrze, ale zagadnienie metod powinno być raczej sprawą wewnętrznej dyskusji, a w żadnym wypadku nie może doprowadzić do tego, aby — jak przy referendum — zgodzić się na poświęcenie jakiejś merytorycznej zasady dla zamanifestowania swojej niechęci wobec metod. Stanowisko PSL podczas referendum, niezależnie od tego, czym było spowodowane i jakie cele miało na widoku, okazało się obiektywnie szkodliwe dla zreformowanego modelu państwa polskiego.

*

Porozumienie jest zazwyczaj kompromisem; ale każdy rozsądny kompromis ma z góry wytyczone granice. Dziś polskiej lewicy nie można proponować porozumienia, którego zasady mogłyby w czymkolwiek podważyć dokonywującą się u nas reformę. Obecne zaś warunki, trudne, nienormalne, bo określone m. inn. nieustanną walką podjazdową ze strony podziemia, zmuszają nas do pewnej nieufności. W walce prawdziwe przymierze zawiera się tylko z tym, kto gotów jest walczyć razem z nami przeciw wspólnemu wrogowi.

Rzeczywiste porozumienie dokonuje się w Polsce już od dawna, zupełnie niezależnie od wysiłków PSL'u. Można o nim powiedzieć, że było postanowione z góry; bo przecież nikt chyba nie uwierzy, że w Polsce został już zrealizowany pełny program lewicy społecznej. Ten pełny program, to socjalizm, a z socjalizmu nasze partie robotnicze na pewno nie zrezygnowały. Mimo to i mimo, że w momencie oswobodzenia Polski one decydowały o tworzących się kształtach przyszłego państwa, wybrały nie natychmiastową realizację pełni swego systemu, ale model kompromisowy. Wybór tego modelu był wyciągnięciem ręki do wszystkich demokratów, porozumieniem istotnym i bardzo celowym, ponieważ w Polsce zakres demokratów jest dziś większy, niż socjalistów. Obie partie robotnicze, trzon „obozu bloku", dały w ten sposób dowód, że zamiast gwałtownych przemian rewolucyjnych wybierają drogę porozumienia i dążenia do parlamentarnej — właśnie parlamentarnej — ewolucji.

A więc zgoda na drogę, o której mówi pos. Załęski, została zdeklarowana już dawno, przed dwoma i pół laty, w Lublinie; tylko PSL po prostu zdaje się tej zgody nie dostrzegać.

*

Wyraził się jeszcze poseł Załęski: „Jesteście rewolucjonistami, my stoimy na stanowisku ewolucji..." Chodziło mu w tym powiedzeniu o stosunek do spraw gospodarczych. Ale w dziedzinie polityki proporcje są raczej odwrotne. To właśnie PSL chce być rewolucjonistą nowej Polski, a jego rewolucja nosi imię „wybory". Koncepcja bloku zaś to typowy pomysł ewolucyjny, dopuszczający zmiany w konfiguracji politycznej, ale bez wstrząsów, na drodze porozumienia.

PSL twierdzi zupełnie słusznie, że normalna walka polityczna nie może być „aż tak" szkodliwa; zapomina jednak o tym, że u nas nie ma jeszcze warunków normalnych i dlatego nie mogłoby być również normalnej akcji wyborczej. Nie może jej być w kraju, gdzie jest podziemie.

Z dwóch dróg możliwych kierownictwo PSL-u wybrało drogę opozycji i walki. Nie wiemy jeszcze, co powie na ten wybór samo stronnictwo; skoro jednak został on już dokonany, możemy się teraz tylko starać, aby osłabić jego przykre konsekwencje. Osłabić, bo zniwelować ich nie podobna.

Zdając sprawę z okresu okupacji, stwierdza poseł Załęski o ówczesnych rozstrzygnięciach politycznych polskiego społeczeństwa: „Decydowały nastroje, bo nie łatwo było rozeznać co, jak i dlaczego; a szczególnie kto, komu, co i za co".

Nie chciałbym, aby to zdanie miało jakikolwiek cień waloru w zastosowaniu do obecnej sytuacji. Boję się jednak, że niezupełnie jeszcze minął okres, w którym o rozstrzygnięciach pewnych przynajmniej grup w naszym narodzie „decydują nastroje". Kierownictwo PSL-u gra na tych nastrojach i na tym w dużej mierze opiera swoje dobre mniemanie o własnych wpływach w społeczeństwie. Ale za taką grę zawsze w końcu trzeba odpowiadać.

Edward Csató.

Tak się toczy światek

GENERAŁ

Jego oczy spotkają cię z co drugiej witryny paryskiej. Z tekstyliów, fig i kiełbas wychyla się jego fotografia w ramce, z której celuje w ciebie spod daszka swym dużym kościstym nosem. Jest bowiem bóstwem epiderów, którzy oklaskują go co wieczór w kinach na bulwarach śródmieścia. Tam można go ujrzeć w całej postaci; tygodniki aktualności przedstawiają go z fachowym smakiem, w sytuacjach i pozach, w jakich mieszczanie lubią oglądać swych wodzów — wśród ludu, dziatwy i towarzyszy broni. Na widowni zrywają się wówczas oklaski i okrzyk: Vive de Gaulle! Dzieje się to w kinach, gdzie fotele wysłane są miękką skórą, w kinach wokół placu Opery i na bocznicach Pól Elizejskich. Ale gdzie indziej, na przedmieściach, w Batignolles czy w okolicy placu Bastylii — nie słychać oklasków. Generał salutuje w grobowej ciszy widowni. Robotnicy nie oklaskują mieszczańskich wodzów. Z kąta galerii odzywa się gwizd.

Długo nie wiedziano do czego zmierza. Miał kredyt, szybko wyczerpał. Vichyści obawiali się go zrazu, jako człowieka lewicy. Czy był człowiekiem lewicy? Robotnicy nie często doznawali pomocy od ramion, na których błyszczy generalska szlifa. Zrozumieli szybko, że tym, co dzieli go od prawicy, nie jest barykada, lecz lęk przed odium kollaboracjonizmu.

Nazywają go dziś: bourgeois d'Epinal. Tam bowiem, w Epinal, wygłosił swą mowę przeciw projektowi konstytucji, uchwalonemu przez parlament. „Zarzuty naszych wrogów przyjęliśmy z żelazną pogardą" — tak krzyknął z trybuny do tłumu. Do tłumu mieszczan z Epinal. Pogarda bowiem w ustach wodzów nie może być zwykłą; musi być żelazna lub spiżowa. Pewne surowce i przetwory mają dobry dźwięk w wyobraźni kupców korzennych i notariuszów czytających Bainville'a. Sama pogarda nie jest pewną gwarancją, żelazo opłaca się lepiej.

Czasy pogardy minęły dawno. Dziś na murach paryskich widnieją napisy: „Wypuścić Dubonnay! Zwolnić Vinala!" Dubonnay czy Vinal siedzą. Siedzą za kollaborację. Napisy pochodzą od członków PRL-u. PRL popiera generała i nieraz obok napisu: wypuścić Vinala, ta sama ręka nakreśliła kredą: Niech żyje de Gaulle! Czasy pogardy minęły na wielkich bulwarach. Generał przestał piętnować kollaboracjonistów z lęku przed „odium" komunizmu. Bo dziś we Francji tylko komuniści potępiają kollaboracjonizm.

Generał szybko odbył swą trasę na prawo. Jeśli dwa lata temu naiwni uważali go za radykała, jeśli rok temu krótkowzroczni mówili o nim: człowiek MRP — to dziś zwalcza go lewe skrzydło krótkowzrocznych, a przewidująca prawica podsunęła mu adiutanta w cywilu, którym stał się syn rodu jurystów nazwiskiem Capitant, założyciel nowej partii pod godłem „Union Gauliste".

Rzecz jest gotowa. Analogie dziejowe powtarzają się czasem z nieubłaganym uporem. Jeszcze jeden generał odbył swą generalską drogę, jak gdyby wiódł go niewidzialny kompas Cavaignaców, Boulangerów i Gallifetów, francuskich i obcych, niedawnych i przysypanych grubą warstwą ziemi.

Ten wódz, opromieniony sławą „pierwszego członka oporu", mógł przejść do historii jako nowy Bayard, gdyby zrozumiał, o ile trudniej kierować państwem niż armią. Cień Bonapartego, który nie jedni widzą dziś nad Francją, jest dwuznacznym cieniem i nawet czytelnik Bainville'a musi zawahać się na moment na widok fotografii w witrynie, modystki: Wielki czy mały? Więzień z Elby czy więzień z Ham? Prawdziwy czy podrabiany?

Bo w aurze generała jest słabość, którą czują nawet wierni. Ten Bayard otoczony przez adwokatów pozwala sobie wkładać w dłonie narzędzia podobne do liktorskich rozg, ale jak dotąd przekłada je z ręki do ręki. Właściciele bistro niecierpliwią się czekając dwa lata na chłostę swych wrogów. Wielki stryj przed Brumairem, mały bratanek przed grudniem, gruby wódz przed marszem na Rzym i chudszy przed pożarem Reichstagu— nie zwlekali tak długo.

To nie nowy dyktator patrzy na was z fotografii, gdy oglądacie przez szybę wyroby z świńskiej skóry. To dzielny dowódca dywizji, którego wciągnęli na podium cywile, spłoszeni dziesiątkiem milionów komunistycznych wyborców. Są trybuny, z których można tylko spaść, lecz z których się nie schodzi. Generał wygłosił cykl przemówień z francuskich Sulejówków, rzekł: „Nie" na projekt konstytucji i stanął do walki. Naród powiedział: „Tak", wielki procent głosujących nie powiedział nic, zmęczony generałem. Poczem generał wyraził chęć objęcia prezydentury w ramach konstytucji, która przyjął z pogardą żelaza...

Francuzi mają zmysł humoru, którego uczył ich.

Kandyd.

DE GAULLE W SATYRZE FRANCUSKIEJ

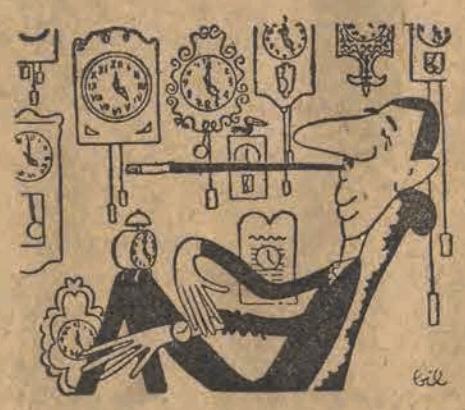

Czekając na swą godzinę...

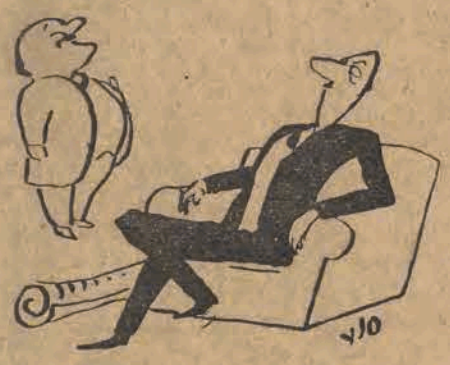

PO PRZEMÓWIENIU W EPINAL
— Reakcja?
— Jest bardzo zadowolona, generale...

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I Ą Ż K A"
sierpień — wrzesień — 1946 r.

POEZJE

WŁ. BRONIEWSKI
Bagnet na broń
zł. 35.—
Drzewo rozpaczające
zł. 55.—

HOŁUJ
Wiersze z obozu
wyd. II.

TIMOFIEJEW
Wysoki płomień
zł. 160.—

L. SZENWALD
Utwory poetyckie
zł. 200.—

„K S I Ą Ż K A"

ST. A. MAJEWSKI

DOOKOŁA POLSKIEGO PLANU GOSPODARCZEGO

I.
KONCEPCJA

Dekretem Prezydenta z października 1945 r. został powołany do życia Centralny Urząd Planowania. Pierwszym jego zadaniem było opracowanie ogólnej koncepcji narodowych planów gospodarczych oraz pierwszego z tych planów: planu odbudowy kraju. Jako wynik 10-miesięcznej pracy CUP-u Rząd przedstawił Krajowej Radzie Narodowej wytyczne ogólne i tymczasowe liczby podstawowe planu **odbudowy** gospodarczej. Jak wiadomo zostały one przyjęte jednogłośną uchwałą KRN z dn. 23. 9. rb. Uchwała ta KRN jednocześnie zleciła Rządowi opracowanie w terminie do 15 12. 46 r. — projektu ustawy o planie odbudowy opartym na wytycznych i podstawach przedłożonych.

Wydany kilka dni temu nakładem CUP „Narodowy Plan Gospodarczy" może łatwo wprowadzić czytelnika w błąd swym niezupełnie właściwym tytułem. Tytuł ten bowiem podsuwa myśl, jakobyśmy już taki plan narodowy posiadali; w ten też sposób niektóre dzienniki przedstawiły sprawę swoim czytelnikom. Otóż trzeba z naciskiem zaznaczyć, że takie przedstawienie sprawy jest całkowicie błędne. Naprawdę mamy na razie tylko koncepcję pierwszego narodowego planu gospodarczego, a nie gotowy już plan z ostatecznymi normami obowiązującymi instytucje społeczne i obywateli.

Wręcz przeciwnie — wydając drukiem opracowaną przez siebie koncepcję, CUP chciał ją w ten sposób udostępnić wszystkim obywatelom, a przede wszystkim instytucjom i warsztatom pracy, którym wypadnie w roku przyszłym realizować plan, mający być opracowany. Wydawnictwo CUP-u jest apelem do dyskusji i wezwaniem do rzeczowej krytyki. Czas od wydania drukiem koncepcji do przedłożenia ciału ustawodawczemu projektu ustawy pierwszego planu gospodarczego powinien zatem podług intencji CUP być okresem konsultowania opinii publicznej. Leży to bowiem w istocie każdego planu gospodarczego w skali państwowej, że nie może on zostać opracowany tylko odgórnie, metodą biurokratyczną. Będą go wszak wprowadzać w życie dyrektorowie, inżynierowie, technicy i robotnicy wszelkiego rodzaju warsztatów pracy. Im gruntowniej ci przyszli realizatorzy planu zabiorą w sposób rzeczowy głos o wypracowanej i przedstawionej koncepcji, tym większe będą szanse, że opracowane na podstawie koncepcji i dyskusji plany ostateczne będą realne i że będą one odpowiadać potrzebom i aspiracjom społeczeństwa.

II.
O ODBUDOWĘ KRAJU

Z pojęciem planu łączymy tradycyjnie pojęcie **przebudowy** gospodarczo - społecznej. Pomysł bowiem gospodarowania planowego w skali państwowej nie jest bynajmniej utopijnym wytworem bujnej fantazji, ale zrodził się z coraz pilniejszej potrzeby zbudowania takiego ustroju gospodarczo - społecznego, w którym by znikły periodycznie powtarzające się kryzysy gospodarcze i towarzyszące im wstrząsy społeczno - kulturalne i który by — optymalnie wykorzystując możliwości ekonomiczne kraju — jednocześnie oparty był na słuszniejszym, sprawiedliwszym i zarazem bardziej celowym podziale dochodu społecznego.

Jest rzeczą oczywistą, że przystępując do obmyślenia polskiego planu gospodarczego, trzeba było stanąć mocno na twardym gruncie naszej powojennej rzeczywistości. Otóż najbardziej kategorycznym nakazem tej rzeczywistości było dźwignięcie się z ruin i zaleczenie ran wojennych, czyli — jak najrychlejsza i możliwie zupełna odbudowa zniszczonego kraju. Taka odbudowa kraju oznacza możliwość powrotu do jakiegoś ludzkiego standartu życia. Wiadomo, że nasza przeciętna przedwojenna stopa życiowa była jedną z najniższych w Europie i całkiem niezadowalająca z punktu widzenia jej zróżnicowania społecznego. Ale nasza obecna przeciętna stopa życiowa stanowi groźbę prawdziwej katastrofy. Wystarczy uprzytomnić sobie, że przeciętne spożycie podstawowych artykułów żywnościowych spadło tak dalece, że w porównaniu z r. 1938 nasi obywatele konsumują obecnie o 50 proc. mniej chleba, o 43 proc. mniej cukru, o blisko 40 proc. mniej mięsa i o połowę mniej mleka, masła i sera. Średnia wartość odżywcza i średnia wartość kaloryczna dziennego spożycia spadły o 44 proc. w porównaniu z 1938 r. Znaczy to, że przy dzisiejszym stanie przeciętnego odżywiania się zagrożona jest sama substancja biologiczna narodu, zwłaszcza, jeżeli wziąć pod uwagę jego wyczerpanie fizyczne, wynikające z 5½ lat wojny i okrutnej okupacji.

Szybka, planowa rozbudowa i przebudowa gospodarcza połączona jest z dużym nakładem kosztów inwestycyjnych, które siłą rzeczy pociągnąć muszą za sobą mniej lub więcej ostrą kompresję spożycia. Z dochodu społecznego, czyli globalnej wartości dóbr i usług gospodarczych w każdym społeczeństwie lwia część idzie na konsumcję. Gdy ta konsumowana część dochodu jest wysoka i gdy społeczeństwo jest nasycone dobrami konsumcyjnymi o dłuższym okresie spożywania (Mieszkaniem, meblami, odzieża, artykułami przemysłowymi pierwszej potrzeby), to taka przejściowa kompresja jest możliwa. Jest ona ponadto słuszna, gdy inwestycje mają charakter społeczny i otwierają nowe wielkie możliwości społeczno - gospodarcze. Ale w powojennych warunkach naszego kraju, jak widzimy, nie tylko nie może być mowy o dalszym „zaciskaniu pasa", ale wręcz przeciwnie — od wydatnego jego rozluźnienia zależy dosłownie egzystencja narodu w sensie biologicznym. Tak więc nieubłagana twarda, aż nadto twarda rzeczywistość nakazywała twórcom planu obniżyć lot myśli i wysokość aspiracji.

III.
ELEMENTY ROZBUDOWY I PRZEBUDOWY

Jednakże w naszej twardej rzeczywistości powojennej istnieją poważne czynniki gospodarcze, które nie zezwalają na zbyt poziome obniżenie naszych aspiracji i jednocześnie stanowią całkiem realne i gotowe filary pod przyszłą **rozbudową i przebudową** gospodarczą. Przede wszystkim jest rzeczą oczywistą, że odbudowy nie należy pojmować zbyt dosłownie. Z punktu widzenia gospodarczego nie miałoby zupełnie sensu odbudowywanie np. zakładów i urządzeń przestarzałych. Nawet więc ograniczając się tylko do odbudowy nie zawsze i nie wszędzie — można i należy wrócić do stanu przedwojennego. W każdej odbudowie tkwić muszą elementy rozbudowy i przebudowy.

W wyniku wojny struktura geograficzno - gospodarcza zmieniła się gruntownie. Z odzyskaniem ziem zachodnich posiedliśmy w naszych nowych obecnych granicach zakłady i urządzenia ogromnie podnoszące nasz potencjał przemysłowy w porównaniu ze stanem przedwojennym. Wystarczy przypomnieć, że już obecnie mimo zniszczeń i mimo że dalecy jesteśmy od całkowitego wykorzystania całego aparatu bogactw naturalnych na ziemiach odzyskanych, przekroczyliśmy znacznie stan przedwojenny w produkcji energii elektrycznej i węgla oraz przemysłu metalowego, szczególnie parowozów i wagonów towarowych.

Otóż ten potężny aparat produkcyjny nie może się obracać w próżni i musi on zostać odpowiednio podbudowany przemysłem hutniczym, koksownią, piecami hutniczymi, walcowniami itp. Ziemie odzyskane muszą zostać scalone z ziemiami dawnymi. Trzeba więc zbudować zakłady, które zapełnią luki gospodarcze między ziemiami odzyskanymi a ziemiami dawnymi. Sieć długości 320 klm o napięciu 220.000 volt połączy Śląsk z Łodzią i Warszawą. W związku z tym musi zostać rozbudowany przemysł elektrotechniczny, produkujący aparaty elektryczne, materiały izolacyjne, kable i przewody, elektryczne sygnały kolejowe, akumulatory i elektrowozy akumulatorowe itd.

IV.
OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA KONCEPCJI

Krótko mówiąc, polska koncepcja planu gospodarczego musiała wybrać złoty środek między górnym planem gruntownej przebudowy kosztem ograniczenia konsumcji na wzór pierwszego pięciolecia radzieckiego, a poziomym planem zmierzającym jedynie do odbudowy przeciętnego standartu życia. Pierwszy byłby w naszych warunkach fantazją i romantycznym mierzeniem sił na zamiary, drugi — mimo swej pozornej trzeźwości — byłby również nierealny; jakże bowiem można myśleć o rychłym odbudowaniu się bez maksymalnego wykorzystania aparatu produkcyjnego i bogactw naturalnych na ziemiach odzyskanych! Pierwszy kłóciłby się już dzisiaj z żywotnymi pragnieniami i potrzebami szerokich mas, drugi nie dawałby naszemu społeczeństwu perspektywy lepszego jutra i byłby sprzeczny z naszymi uzasadnionymi aspiracjami politycznymi. Koncepcja polskiego planu gospodarczego, jeżeli miała być realna, musiała — opierając się na trzeźwym rozumowaniu ekonomicznym — jednocześnie uwzględniać momenty natury społecznej i politycznej.

Wyszczególnienie	jedn. miary	1938	1946	1947	1948	1949	porównanie z 1938r.
Globalny dochód narodowy	miljar. zł. *)	17,7	8,8	12,5	16,4	20,7	117%
Przeciętny doch. na gł. ludności	zł.	506	368	516	667	825	163%
Dochód konsumowany	miliar. zł.	15,4	7	9,7	13,2	16,7	108%
Dochód konsum. na gł ludności	zł.	440	293	440	537	665	151%
Nakład inwestycyjny	miliard zł.	—	—	2,8	3,2	4	—
Stosunek nakł. inwestyc. do dochodu narodowego	w %		—	22,4	19,5	19,3	—

*) złote z 1938 r.

Koncepcję polskiego planu gospodarczego można, jak się zdaje, określić najlepiej jako **trzyletni plan odbudowy z licznymi elementami rozbudowy i z zadatkami ekonomicznej przebudowy kraju.**

Fundament koncepcji stanowią cyfry i rozważania dotyczące wysokości dochodu narodowego i wysokości jego obciążenia nakładami inwestycyjnymi.

Z powyższej tablicy widać, że w r. 1949 przewidywany jest przyrost dochodu narodowego o 17%, a dochodu przeciętnego na głowę ludności o 63% w porównaniu z 1938 rokiem. Globalny dochód konsumowany podniesie się o blisko 8%, a przeciętny dochód konsumowany na głowę ludności o 51% w porównaniu z r. 1938-ym. Znacznie większy w stosunku do dochodu globalnego przyrost dochodu na głowę ludności tłumaczy się jej zmniejszeniem w porównaniu ze stanem przedwojennym: koncepcja planu zakłada, że w r. 1949 Polska będzie liczyć 25 milionów mieszkańców.

Gdy od globalnego dochodu narodowego odejmiemy dochód konsumowany, otrzymamy wysokość planowanych kosztów inwestycyjnych. Wysokość ta wyniesie przeciętnie 20% dochodu narodowego. Wg szacunku autorów koncepcji moglibyśmy z własnych krajowych środków dokonywać inwestycji w wysokości nie przekraczającej 15% dochodu narodowego. Zatym całkowite zrealizowanie planowanych inwestycji uzależnione jest od dopływu kapitału zagranicznego. Koncepcja więc zakłada, że 75—80% kosztów inwestycji pokrywane będą ze środków krajowych, a 20—25% pożyczkami zagranicznymi — średnio lub długoterminowymi. Gdybyśmy musieli wszystkie nakłady inwestycyjne czerpać z krajowych środków, stanęlibyśmy przed alternatywą: albo próba całkowitego zrealizowania planu drogą obniżenia wysokości dochodu konsumowanego, czyli drogą planowania stopy życiowej, albo zrezygnowania z pewnych inwestycji lub ich przesunięcie na termin późniejszy. W sumach absolutnych koszty inwestycyjne przewidywane przez plan trzyletni będą wynosić około 3½ miliarda dol. Dla całkowitego zrealizowania przewidywanego planu trzeba nam zatym kapitału zagranicznego w wysokości około 800 milionów dolarów.

Rozważania o dochodzie narodowym oraz o wzajemnym stosunku dochodu konsumowanego do nakładów inwestycyjnych pokazują, że koncepcja planu gospodarczego zahacza również o istotne problemy naszej polityki zagranicznej.

St. A. Majewski.

TADEUSZ BREZA

OSTATNIA SZTUKA GIRAUDOUX

Kiedy Jean Giraudoux na początku 44 r. umierał w Paryżu, licząc 62 lat, rozstawał się ze światem jako człowiek, któremu najtrudniejszy rodzaj sztuki, jaką uprawiał, przyniósł same powodzenia, a wydawałoby się, najprostszy rodzaj polityki w jaką wierzył, same rozczarowania. Giraudoux skończywszy uniwersytet należał do tej grupy młodych naukowców francuskich, którzy po tamtej wojnie, skierowali się do Niemiec, aby ten naród zrozumieć, uczuciowo rozbroić i obłaskawić. Giraudoux zaczął od uniwersytetów, studiował sam, zanim miał przejść do nauczania. Potem zaś najpierw zaczął uczyć różne niemieckie książątka, zanim zabrał się do uczenia zwykłych niemieckich ludzi. Jeden z dworów królewskich południowych Niemiec wezwał go, aby tamtejszego następcę tronu wykształcił w arkanach francuszczyzny, później zlecono mu wykłady na jednym z uniwersytetów niemieckich, aby tam nauczał Niemców francuskiego zmysłu krytycyzmu. Ale wkrótce się okazało, że młody książę nigdy nie obejmie tronu, ponieważ w całych Niemczech wszystkie lokalne trony zostały skasowane, niebawem zaś wyszło na jaw również i to, że Niemcy nigdy nie poddadzą się urokom francuskiego zmysłu krytycyzmu, ponieważ o wiele większy urok ma dla nich właśnie zupełny brak krytycyzmu i ślepe poddawanie się rozkazom człowieka, który na gruzach całego mnóstwa kieszonkowych tronników, wybudował sobie jeden monumentalny tron.

Giraudoux powrócił do Francji, i tam zwolna po stopniach urzędowych ministerstwa spraw zagranicznych zaczął się wznosić coraz to wyżej i wyżej. Niezależnie od swojej „kariery" spróbował powieści, które prędko uczyniły go znanym, od tych powieści przeszedł do sztuk teatralnych, które uczyniły go bogatym. Pierwszy z jego utworów scenicznych począł się dla niego w sposób zupełnie nieoczekiwany. Ot tak, że w księdze pamiątkowej poświęconej swemu, przechodzącemu na emeryturę, profesorowi z College de France, wydrukował fragment z powieści. Fragment ten w przeważnej części składał się z dialogu. I wtedy nagle samego Giraudoux, i wszystkich z jego otoczenia, w tym kilku ludzi z teatru, uderzyła świetna sceniczność tej rozmowy. Powieść, z której Giraudoux ją wziął, była już gotowa, więc wydał ją, ale później przerobił na scenę. Tytuł powieści brzmiał: — „Siegfried et le Limousin", sztuka nazywała się już tylko „Siegfried". W pomyśle przypomina ona niedawno graną w krakowskim „Teatrze Starym" sztukę Anouilha p.t. „Pasażer bez bagażu" (pamięciowego). Bohater Giraudoux traci pamięć wraz ze wszystkimi dokumentami, na polu walki. Kiedy w niemieckim szpitalu odzyskuje przytomność nie wie nawet, że jest Francuzem. Wokół toczy się wojna, tamta. Chory powoli zaczyna się uczyć wszystkiego od początku, ale już po niemiecku. Staje się Niemcem; dopiero później wskutek zawikłanych i romantycznych okoliczności dowiaduje się prawdy o tym jaką ma narodowość. Wraca do swego macierzystego kraju. Ostatecznie z duszą zupełnie francuską, tyle, że pełną zrozumienia dla Niemców. Utwór ten był w pewnym stopniu utworem politycznym, ale przede wszystkim był utworem artystycznym. Błyskotliwy, paradoksalny, subtelny, kazuistyczny, kroczy on na czele całego zastępu późniejszych sztuk Giraudoux. Jedna z nich ma taką nazwę: „Wojny trojańskiej nie będzie". Jest to sztuka wyrafinowana, grecka i alegoryczna, lecz strach przesyca ją, najprostszy, francuski i ludzki, strach bez żadnych alegorii. Przed wojną! Przed nowym uderzeniem ze strony niemieckiej!

Doszło do niego! Giraudoux w rządzie Daladiera zostaje ministrem informacji. Do jego obowiązków należy teraz uświadamiać francuską opinię o tym kim są naprawdę Niemcy. O tym jakie są ich cele i o tym jakie są ich metody. O tym co rozumieją pod słowem „pokój", i o tym co rozumieją pod słowem „wojna". Więc uświadamiał i informował, wzdrygając się, kiedy ze wszystkich stron świata przychodzili do niego uciekinierzy z coraz to większej ilości krajów, żeby zeznawać przed nim o rzeczach, które żadną miarą nie mogły mu się pomieścić w głowie. Pierwsi przyszli Polacy, naród zanadto nieszczęśliwy, żeby jego słowa mogły być przekonywujące. Ale po nich zjawili się Norwegowie i Duńczycy, Belgowie i Holendrzy. To już był ktoś! Giraudoux się zastanawiał. Wreszcie pojął wszystko, kiedy przyszli pierwsi Francuzi. Ale wtedy już było za późno! Bo kiedy dotarli do Paryża pierwsi francuscy uciekinierzy, rząd opuszczał Paryż. I Giraudoux wyjeżdżał! Kraj jego macierzysty rozpadł się w proch. Ze słabości! Ale gorsza jeszcze od tej słabości okazywała się zła i potworna siła z jaką zdradzał się kraj przez Giraudoux przybrany. Wkońcu ujrzał ich sam! Teraz z goryczą musiał sobie przypomnieć i w pamięci przepowiadać te fragmenty dialogów z powieści, która uczyniła z niego dramaturga. Jego Siegfried - Forestier, powracający do Francji, mówił: — „Przyjeżdżam do niej nie jako ostatni z francuskich jeńców wojennych uwolnionych z niemieckich obozów, ale jako pierwszy szczęśliwy posiadacz nowej wiedzy i nowego serca". — Serce Giraudoux, ilekroć wspominał te słowa, musiało się ściskać. Pojmował bowiem teraz jasno, że jego Siegfried, i on sam, twórca tej postaci, byli nie tylko pierwszymi, ale jedynymi i raz na zawsze ostatnimi posiadaczami tej nowej wiedzy i takich nowych, tak bardzo prędko przemijających, serc!

Ale wszyscy niemieccy przyjaciele Giraudoux, którzy znaleźli się na terenie Francji, nie rozumieli tego. Z różnych stron wyciągały się do niego niemieckie dłonie. Giraudoux szukał przed nimi schronienia. Czyż oni wszyscy nie

pojmują, że zawiedli swego francuskiego przyjaciela? Na coraz bardziej natarczywe propozycje niemieckiego ambasadora we Francji odpowiadał odmownie. Tłumaczył, że nie ma obecnie żadnego zainteresowania do polityki. Na propozycje rządu z Vichy nie odpowiadał wcale. Powrócił do swoich sztuk rozpoczętych przed wojną i w nich szukał alibi. Skończył jedną z nich. Zawahał się! Bo Jouvet, z którym tak ściśle związane zostało jego własne nazwisko teatralne, musiał przed Niemcami opuścić Paryż. Tryumfował teraz jako aktor, inscenizator i reżyser w różnych krajach Ameryki Południowej. W końcu nową sztukę („Sodome et Gomorhe") oddał reżyserowi Hebertot z paryskiego „Theatre des Arts". Był to rok 1943. Sztuka miała powodzenie wyjątkowe. Giraudoux przeszedł teraz do następnej sztuki, która miała stać się jego sztuką ostatnią. To „La Folle de Chaillot".

Kiedy Jouvet wrócił z Rio de Janeiro Giraudoux już nie żył. Razem z wdową po wielkim pisarzu rozejrzał się w jego papierach. Akt I sztuki był gotów, w zasadzie o tyle, że porządek scen nie był jasny; w jeszcze gorszym stanie pozostawała reszta utworu; istniał ogólny zarys, trochę szkiców, a na dodatek do tego plan nieco szczegółowszy, który znała jedynie pani Giraudoux. Z tego dał się ostatecznie złożyć drugi akt, a ściślej mówiąc druga część. „La Folle de Chaillot" (powiedzielibyśmy „głupia" z Chaillot, a Chaillot to dzielnica Paryża) jest sztuką mocno witkiewiczowską. To jakby pomysł St. I. Witkiewicza, pomysł i plan, wykonany w szczegółach piórem Giraudoux. Akcja rozgrywa się w Paryżu, przed wojną, czy po, a raczej niezależnie od wojny. Grupie finansistów, ludzi interesu, lecz wyraźnych kanciarzy przychodzi do głowy czy by tak nie spenetrować geologicznie miejsc, na których zbudowane są wielkie miasta. Bo już zostały zbadane wszystkie tereny na ziemi w poszukiwaniu bogactw ukrytych w jej łonie. A tu, naprzykład, może pod Paryżem istnieć żelazo, mangan, węgiel! Tak powstaje spółka. Ale prostą ludność Paryża przeraża projekt wierceń. Trzeba żeby mu się ktoś przeciwstawił! Ale kto? Może rząd? Ale rządy są przecież bezradne wobec finansistów. Więc lud? Ale znowu lud jest bezradny wobec rządów. Rządy bowiem rozporządzają nie tylko siłą, ale również argumentami. Różnymi więc hasłami, dowodami, statystykami. Trzeba by kogoś kto by w stosunku do takich rzeczy nie odczuwał żadnego respektu. Trzeba wariata! A właśnie jest jedna pod ręką. Wielka wariatka! Wariatka z Chaillot.

Akt drugi rozpoczyna się zlotem naczelnych wariatek z głównych dzielnic Paryża. Po długich naradach wariatki wpadają na myśl, żeby całe paryskie draństwo od wielkich i brudnych interesów osadzić w lochu. A loch skąd? Właśnie mają wariatki taki loch do rozporządzenia, bo ta z Chaillot mieszka w suterenach starego domu z zapadnią. Wariatki leją w zapadnię trochę nafty, żeby było nią loch czuć, poczym w wielkim sekrecie dają znać ferajnie aferzystów, że tam jest szyb. Finansiści, macherzy, maklerzy, różni grosiści od kartelów i forsy po kolei grupkami zstępują w dół. A kiedy już wszyscy siedzą w saku, wariatki zatrzaskują loch. Ziemia jest wolna! Nie ma już na świecie jej złych synów, którzy ryją ją ze szkodą! I wtedy — nie wiadomo skąd — w każdym razie również spod ziemi i również zebrani w grupki wynurzają się różne duchy dawno pomarłych ludzi, którzy za życia dla szlachetnych celów naruszali święty spokój ziemi. Tak kończy się druga część sztuki, będąca, nie wiadomo, czy snem czy apoteozą wariatki z Chaillot.

Sztuka iskrzy się cała od świetnych, trafnych i śmiesznych powiedzeń. I to jest jej walor. Walor oczywisty i jasny. Mniej jasna jest jej sama idea. Można się długo zabawiać, podkładając różne znaczenia pod symboliczne postacie sztuki: pod „wariatkę" tytułową, pod aferzystów, pod wodzireja ludu, którego w Paryżu grał Jouvet. To pewne, że jest w tej sztuce protest przeciw przerażającym i nienasyconym apetytom rekinów od wielkich afer, ale jest w niej również jakiś wyraźnie utopijny otrząs na myśl o każdym człowieku, który się tyka pieniędzy. Co zaś do samej wariatki można rzec na pewno, że nie jest ona symbolem buntu, czy czyniącego dobry zasiew szaleństwa. To raczej jakaś wielka dama, której zdaniem gmeranie pod spodem murów, takich starych jak te z Chaillot, jest dużą niedelikatnością. Natomiast ozdobnik na końcu drugiej części, a więc i sztuki, wtedy kiedy to pokazują się spod ziemi „dobrzy szperacze", każdy z jakąś czy to jarzyną, owocem, czy ziołem lekarskim w ręku, sprawia, że sztuka ma smak utworu, który by na przykład doradzał zwalczanie przerostów kapitalizmu za pomocą wodolecznictwa.

W Paryżu „La Folle de Chaillot" miała powodzenie olbrzymie. Czynił ją atrakcyjną fakt, że grał w niej Jouvet, a oprawę sceniczną dał jej najznakomitszy współczesnny dekorator paryski — Christian Berard. W roli tytułowej wystąpiła, znana również w Polsce z różnych filmów, Marguerite Moreno. Świetna! Ale poddając się wszelkim urokom jej francuskiej gry, nie mogłem nie pomyśleć o innej aktorce, również znakomitej, naszej własnej, dla której rola „Wariatki z Chaillot" musi się wydawać jak napisana. Myślę o Marii Dulębie! Dla niej samej warto wystawić u nas tę sztukę. A poza tym dla samego tekstu! A, ściślej mówiąc, dla samego autora, który polską publiczność zawsze tak fascynował i zaciekawiał. Sądzę więc, że zainteresuje ją i ten ostatni jego utwór, zainteresuje i wzruszy choćby tylko faktem, że jest to jego utwór ostatni, pośmiertny, a nawet można tak powiedzieć, utwór pogrobowiec, ile że przez samego autora tylko poczęty, dojrzał przez żonę.

Tadeusz Breza

PAWEŁ HERTZ

PRAWO WYBORU

Intelektualista, a przede wszystkim pisarz, bez względu na to jaka jest jego ideologia artystyczna, zdaje sobie już dziś niewątpliwie sprawę z organicznego związania jego pracy i jego myśli z tym wszystkim, co się wokół niego dzieje. No man's land między strefą działania pisarza i strefą zaludnionego świata przestał istnieć po drugiej wojnie światowej. Jeśli pozory osamotnienia pisarza można by dziś jeszcze na upartego utrzymywać w krajach, w których z nieznacznymi tylko poprawkami funkcjonuje przedwojenny mechanizm społeczny i ekonomiczny, to w krajach młodej reformy, łagodnej rewolucji takie osamotnienie jest oczywistą fikcją.

Istnieje natomiast niewątpliwie w wielu wypadkach konflikt pisarza z otaczającą go rzeczywistością. Konflikt ten jednakże najczęściej rozgrywa się w płaszczyźnie ideologii artystycznej. Trzeba bowiem zgodzić się z faktem, że mimo akcesu wielu pisarzy polskich, i to akcesu otwartego, do całkowicie określonych programów przebudowy społecznej, twórczość tych pisarzy pozostaje niezmiennie w promieniu działania tych samych uroków, jakim podlegali oni przed laty. Wydaje mi się, że jest to zupełnie naturalne i że jakiekolwiek próby w kierunku przemienienia tego stanu rzeczy musiałyby się skończyć osobistą klęską jednostki twórczej i ogromnym zubożeniem naszej literatury. Pisarze pokoleń przedwojennych pozostaną na zawsze w kręgu dawnych tradycji formalnych. Jakiekolwiek pretensje z tego powodu równają się niezrozumieniu problemu. Jakiekolwiek próby gwałtownych zmian czy nacisku równają się likwidacji literatury. Pisarze przedwojennego pokolenia, myślę tu o tych wszystkich, którzy niezależnie od swoich przekonań politycznych i artystycznych wychowali się i sformowali w latach międzywojennych, mają tylko obowiązek zrozumienia tego czasu w którym żyją. To jedyny ich obowiązek.

Ale prócz tego obowiązku mają również prawo. Prawo wyboru takiego świata, któremu intelektualista — pisarz czy uczony — może i chce pozostać wierny. Dokonanie takiego wyboru nakłada rzecz prosta obowiązki ,ale daje również i prawa. Jednym z naczelnych praw winno być prawo do zachowania własnej indywidualności twórczej.

Obóz lewicy w Polsce daje takie prawo pisarzowi. Dlatego być może tak wielu pisarzy wspomaga ten obóz i bierze na siebie nie najłatwiejsze obowiązki.

Byłoby rzeczą ciekawą, by zbadać to zjawisko, które obserwujemy nieustannie w okresach wielkich przesileń, tam gdzie się kończą wielowiekowe hegemonie, tam gdzie się zaczynają nowe epoki. Zjawisko przesuwania się wielkich grup pracowników nauki i sztuki na lewo. Zjawisko przystawania jednostek twórczych, tkwiących przeważnie korzeniami w tych warstwach ideologii artystycznej, które przekopały klasy ustępujące, do politycznej ideologii nowej klasy. Wydaje mi się, że zasadniczym motywem w dzisiejszej sytuacji jest przede wszystkim świadomość nieodwracalnej konieczności przebudowy świata. Ta świadomość, przy jednoczesnym uporczywym trwaniu na artystycznych pozycjach, które często nie służą bezpośrednio celom przez nią wytkniętym, jest źródłem, czy raczej bywa źródłem konfliktu. Na pograniczu dwuch formacji ekonomicznych zbieramy gorzkie owoce tego konfliktu. Ale mimo wszystko są to owoce. Wydaje mi się, że obowiązkiem tych pisarzy, którzy odczuwają ten konflikt, jest poinformowanie czytelnika o powodach, które go skłaniają do trwania na politycznych pozycjach, rzekomo tylko niepokrywających się z pozycjami artystycznymi.

Ze swej strony chciałbym się ograniczyć, do wyłożenia racji i motywów bardziej osobistych, mniej zaś teoretycznych. W latach wczesnej młodości nie byłem zwolennikiem nie tylko lewicy, lecz wydawało mi się nawet, że poczciwa, liberalna demokracja grozi światu katastrofą — zniszczeniem cenności kulturalnych, nagromadzonych przez wieki. Ten fałszywy pogląd, który wraz ze mną dzieliły setki i tysiące mieszczańskich synów nie tylko w Polsce, wynikał z konfliktu, jaki narastał w latach 1918 — 1939 między rzeczywistością kapitalistyczną a naszym wyobrażeniem o świecie i naszej w nim pozycji. Wiedzieliśmy, że system kapitalistyczny musi być doskonały, skoro dał dobrobyt naszym dziadkom i ojcom oraz pozwolił nam na odcinanie kuponów od nagromadzonych przez nich majątków. Wiedzieliśmy również, źle znając historię, że dobra kulturalne narastają miarowo, tylko wtedy, gdy hegemonia tych, którzy mogą sobie pozwolić na czytanie książek i oglądanie obrazów jest zabezpieczona. Ale mało kto z nas zdawał sobie sprawę z tego, iż system gospodarczy, któremu zawdzięczamy nasze wykształcenie, nasze dobre maniery, nasze zainteresowanie dla sztuki, sam zawiera w sobie pęczniejące nieustannie nasienie śmierci, upadku i rozkładu. Na widok nadciągającej nowej klasy społecznej, która w sposób mniej lub bardziej umiarkowany proponowała grutowną reformę, uciekaliśmy przerażeni, chowając głowy w piasek bałamutnych ideologii. Ale sytuacja zaostrzała się z każdym dniem i wybór był prosty. Wybraliśmy to, co dyktował nam egoistyczny instynkt klasowy. Wówczas uważaliśmy, że jesteśmy apolityczni, że bronimy tylko skarbów kultury przed „wschodnim barbarzyństwem". Dziś wiadomo, że byliśmy rezerwową armią wstecznictwa.

Z lewicowcami w Polsce prawie się nie stykałem. Była to nie tylko moja wina. Oczywiście, odstręczał mnie ich pryncypializm, ich obojętność dla spraw niezwiązanych z chwilą bieżącą, ich ocena rzeczywistości, ich chęć sprowadzenia wszystkich problemów do gotowych formułek wiecowych. Wydawało mi się wówczas, że mądrość prawdziwa polega na pogardzie dla rzeczywistości, na obronie „ducha" przed „materią", na przeciwstawianiu się każdemu hasłu demokratycznemu — to bowiem mogło zagrażać światu, w którym tak wygodnie i spokojnie żyliśmy między książeczką czekową i książką Prousta. Ale trzeba przyznać, że przed wojną lewica polska, a w każdym razie jej najbardziej aktywna i świadoma część, mało robiła, by pociągnąć za sobą mieszczańskich synów. Właściwie uważano nas z góry za straconych dla sprawy przebudowy świata. Rezygnowano z nas a priori. W pojęciu wielu dzisiejszych moich przyjaciół byłem zgubiony dla sprawy prawdziwej demokracji w roku 1938 tylko dlatego, że miałem więcej niż dwie koszule. Dziś oni sami mają ich po sześć i przekonali się, że nie tylko to jest ważne.

Ważne i istotne było co innego. Chodziło przede wszystkim o uświadomienie sobie, że cały dorobek kulturalny w rękach mieszczaństwa musi zginąć. Gdyby nam spokojnie tłumaczono, że kultura wcale nie cierpi od wstrząsów, zmian i przechwytywania hegemonii przez młode klasy społeczne, że przeciwnie — w tych właśnie okresach najbujniej rozkwita, być może — pozyskano by nas dla sprawy dużo łatwiej i dużo wcześniej.

Tradycyjnym i ulubionym symbolem przemiany społecznej był „komunista z nożem w zębach". Cóż więc dziwnego, że szukaliśmy ochrony w kruchtach kościelnych, w umacnianiu dyktatury mieszczaństwa, w faszyzmie!

W 1938 miałem możność, przypadkową zresztą, nawiązania osobistych kontaktów w Paryżu z wieloma emigrantami z Niemiec, Hiszpanii i Włoch. Byli to intelektualiści — malarze, literaci, — liberałowie, socjaliści i komuniści. Mogłem zebrać dokładne informacje o stosunkach w krajach dyktatury i przyznaję, że dopiero wówczas, patrząc na tragedię tych ludzi, oderwanych od swoich warsztatów pracy i naturalnego podłoża, jakim dla każdego artysty jest kraj i język, zacząłem trzeźwieć z uroków totalizmu i dyktatury.

Od tego czasu minęło wiele lat, które spędziłem w rozmaitych miejscach i w rozmaitych okolicznościach. Błędy w rozumowaniu, jakie popełniałem, stawały się coraz bardziej oczywiste. Oczywiste również było i to, że klasa z której pochodzę i z którą byłem, mimo pozorów outsiderstwa, tak silnie związany, zbankrutowała. Ale tradycje kulturalne, myślę tu o dobrych tradycjach, są żywe i muszą być przekazane ,jeśli nowy, wspaniały świat ma być światem dla człowieka.

Nie przyszedłem do ruchu lewicowego, jak to już widać, kierowany instynktem. Instynkt bowiem kazałby mi trwać na pozycjach, na których przecież mimo wszystko czuwają żołnierze zbankrutowanych ideologii, podając sobie w ciemnej nocy hasło: „Jeszcze nie wszystko stracone!" Istotnie, bankruci znajdują chętnych, którzy chcą im przyjść z pomocą.

Nie przyszedłem do ruchu lewicowego dla tego, by domagać się równouprawnienia społecznego. To bowiem było mi dane wraz z rentą. Nie pochodzę z warstwy robotniczo - chłopskiej.

Wojna wyjaśniła wiele rzeczy. Nie czuję dziś solidarności z tym środowiskiem, z którego pochodzę. Taka solidarność bowiem obraca się wprost przeciwko temu wszystkiemu, co zdobyłem jako doświadczenie w ciągu sześciu lat. Jeśli konstatujemy bankructwo cywilizacji i kultury opartej na wyzysku i nienawiści, jeśli zdajemy sobie sprawę z tego, że wielka reforma społeczna nie tylko nie zniszczyła tradycji i dorobku pokoleń, ale je pomnoży i rozprzestrzeni, tak iż staną się one udziałem każdego, bez względu na to jaki jest stan jego majątku, to kurczowe trzymanie się zbankrutowanej ideologii byłoby nonsensem.

Dlaczego jestem solidarny z ruchem lewicowym? Dlatego, że ruch lewicowy opiera się na sprawdzalnej, naukowej teorii zgodnej ze stanem wiedzy ludzkiej. Wierzę doświadczeniu i szkiełku bardziej niż wzruszeniu i oku. Dlatego, że plan przedstawiony przez lewicę jest jedynym, jaki daje gwarancję rozsądnej gospodarki nagromadzonymi przez naszych ojców i dziadków dobrami materialnymi i duchowymi. Dlatego wreszcie, że lewica włącza do swego arsenału całą tradycję i wszystkie osiągnięcia myśli ludzkiej, nie odrzucając niczego, co mogłoby pomóc w wychowaniu lepszego, rozsądniejszego, prawdziwszego człowieka.

Byłoby rzeczą instruktywną zapytać pisarzy i intelektualistów, zwłaszcza tych, którzy przed laty stali rzekomo na uboczu wszelkich walk i starć politycznych, kiedy praca ich była bardziej ceniona, bardziej szanowana i bardziej potrzebna — wczoraj, w kręgu trzech odbiorców, czy dziś, gdy związali się szczerze ze sprawą wielkiej reformy społecznej? Być może, że wielu z nas nie służy tej sprawie bezpośrednio. To prawda. Wierszem ani sonatą nikt walki nie wygrywa. Ale czy to, iż większość intelektualistów, nie tylko w Polsce, opowiada się wyraźnie po stronie lewicy, angażuje swoje umiejętności i sympatie po stronie obozu reformy, nie wskazuje wyraźnie na słuszność naszej sprawy? Świadomość wielu z nas wyprzedza umiejętność jej reprodukowania. To prawda. Ale niedorzecznością byłoby domagać się od ludzi wychowanych i sformowanych w innych warunkach, by wyzbyli się wspomnień. I złych i dobrych. Niedorzecznością byłoby określać programy artystyczne, tak jak się określa programy partyjne. To też najbardziej aktywne, najbardziej świadome ugrupowania lewicy dalekie są od krępowania inwencji

twórczej. Próbują one wytyczyć kierunki, które wydają się słuszne, ale nie zmuszają nikogo by je za takie uznał, odrzucając bez reszty wszelkie inne.

Ta tolerancja lewicy dla poszukiwań uczonych i artystów wydaje mi się jedną z najcenniejszych, jaką nam ofiarowano w ogniu walki politycznej.

Z gorzkich doświadczeń lat międzywojennych i wojny wychodzimy świadomi tego, że ziemia i ludzie rządzą się prawami, których zmiana tylko od ludzi zależy. Otrzymaliśmy prawo wyboru i tylko od nas zależy, czy z prawa tego skorzystamy w sposób rozsądny i godny człowieka. Nie powinniśmy się błąkać zapatrzeni w niebo, które nie daje pomocy. W nas samych, w naszych sercach i sumieniach tkwi zbawienie świata, tylko my sami możemy dokonać zmian takich, które pozwolą na pełne wykorzystanie całego dotychczasowego dorobku ludzkiego i na pomnożenie go przez następne pokolenia. Ale, rzecz jasna, zmiany nie odbywają się automatycznie. Trzeba dopomóc w ich przeprowadzeniu. Przeprowadzić je może tylko społeczeństwo aktywne, ci, którym na zmianach tych zależy najbardziej: robotnicy, chłopi, inteligencja. Ten banalny i zszargany w przemówieniach wiecowych slogan jest przecież prawdziwy. Nie wstydźmy się go powtarzać, tak jak nie wstydzimy się używać liter alfabetu. Kapryśni intelektualiści narzekają dziś jeszcze na demagogię i hasłowość lewicy. Ale jeśli ktoś wyprowadzi przed nimi równanie matematyczne lub dowód na przystawanie trójkątów będą uważali, że wszystko jest w porządku. A przecież z trybuny wiecowej i ze szpalt prasy lewicowej powtarza się właśnie sprawdzalne, oczywiste, oparte na doświadczeniu naukowym, dowody.

Jestem głęboko przekonany, że tylko reforma przeprowadzona zgodnie z teorią marksistowską, uwzględniającą i objaśniającą lepiej i dokładniej mechanizm świata i zależność między ludźmi, da nam wreszcie pokój, dobrobyt i szczęście na ziemi. Przywykłem do tego, że z nieba nie spada nic, prócz wielotonnowych bomb i chcę siać mannę własnymi rękami, aby ją sam zbierać.

Byłoby nonsensem przeprowadzać reformy bez planu. Jakie jest jedyne rozsądne rozwiązanie, które nie zmusza nas do zrezygnowania z naszych osiągnięć technicznych i naukowych? Encykliki papieskie, których realizacja prowadzi wprost do korporacyjnego ustroju średniowiecznego, czy plan gospodarczy?

Byłoby nonsensem wyobrażać sobie, że zniknie imperializm i polityka wyzysku kolonialnego, że można załatwić w jakikolwiek sposób skomplikowaną kwestię narodowościową, zlikwidować na zawsze wojny i wstawić każdemu telefon, radio i telewizję, jeśli nie zostaną zrealizowane i utrwalone hasła lewicy społecznej.

Katolicy obiecują nam królestwo niebieskie za grobem, i to w wypadku, jeśli nie będziemy się buntować na ziemi, zaś fikcję solidaryzmu na tym padole, scientyści chcą przekazać rządy uczonym, ale nie mówią na kim się ci uczeni mają oprzeć. Wyobraźmy sobie rządy nad światem sprawowane przez uczonych niemieckich, pracujących w laboratoriach, stawianych sumptem wielkiego kapitału anglo-amerykańskiego!

Program lewicy społecznej gwarantuje nie tylko planowość reformy i udział w jej korzyściach szerokich mas. Gwarantuje również zaspokojenie ambicji narodów i grup narodowościowych w ramach ekonomii i kultury. Kto wskaże inny kraj, poza krajem socjalizmu, gdzieby zostały zaspokojone ambicje i potrzeby kilkuset narodowości i zlikwidowana nienawiść rasowa, religijna i narodowa? Program lewicy społecznej gwarantuje również każdej jednostce twórczej miejsce w wielkiej, racjonalnie działającej maszynerii państwowej. Ilość i jakość intelektualistów przechodzących na pozycje lewicy świadczy wyraźnie o tym, że lewica społeczna nie pogardza jednostką twórczą, lecz że się z nią liczy. Sojusz intelektualistów z warstwą robotniczo - chłopską jest gwarancją, że nic z tego co jest cenne w tradycji kulturalnej nie zostanie w nowym ustroju odrzucone.

Ideologiczny podział świata jest oczywisty. Z jednej strony plan wielkiej reformy, z drugiej — plan wielkiego zniszczenia. Nie wierzę w bombę atomową, ale wierzę w egoizm i ślepotę klasy od której odszedłem. Historia dała nam prawo wyboru, pozwala nam zgłosić solidarny akces do dzieła budowy lepszego świata, niż ten jaki zbudowali nasi ojcowie. Budowy wspartej o wyniki ludzkiego doświadczenia i wiedzy. Do nas należy prawo wyboru. Uczyńmy ten wybór, choćby nam przyszło surowo sądzić samych siebie sprzed lat i to do czego do dziś jeszcze jesteśmy głęboko i szczerze przywiązani w wielkim magazynie mieszczańskiej kultury.

ADAM SCHAFF

O historii ZNMS-u słów parę

Na zjeździe profesorów-demokratów, zwołanym przez TUR w Warszawie otrzymałem wydaną przez ZNMS broszurę, zawierającą historię i deklarację ideową tej organizacji.

Jako były ZNMS-owiec, posiadający dziś prawo do tytułu seniora, przeczytałem ją bardzo pilnie i dokładnie. Nie powiem, abym był wszystkim zachwycony. Ale o tym innym razem. Dziś chciałbym się zatrzymać na artykule wstępnym tow. Wąsowicza o historii ZNMS'u.

Tow. Wąsowicz czerpał wiadomości o historii ZNMS-u, a specjalnie prowincjonalnych środowisk, z drugiej ręki. Stąd też zapewne biorą się pewne niedokładności, posiadające bardzo poważne znaczenie. Są okresy, gdy przemilczenia mają szczególną wymowę. Ponieważ jestem przekonany, że idzie tu o przemilczenie nieświadome, zdecydowałem się dla dobra sprawy lukę zapełnić i zabawić się w historyka. Ba! zdecydowałem się nawet pisać w pewnych momentach o samym sobie.

Z wielką uwagą przeczytałem ustęp o historii ZNMS-u z okresu szczególnie mnie interesującego lat 1936—1938, a z prawdziwym napięciem wiersze, dotyczące mego rodzinnego Lwowa. Przeczytałem i przyznaję, że byłem poważnie zdziwiony. Oto, co pisze tow. Wąsowicz o tym okresie:

„W walce z endecją i sanacją na wyższych uczelniach ZNMS zbliżył się bardziej do Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej (PAML), z którą łączyły go silne więzy wzajemnego zrozumienia i współpracy. ZNMS przestrzegał również — mimo trudności — zasady jednolitego frontu socjalistów i komunistów na wyższych uczelniach.

Na kilka lat przed wojną zaznaczył się silny wzrost wpływów ZNMS. Zaczyna się wybijać teraz środowisko warszawskie, na czele którego stoją: Włodzimierz Kaczanowski, Leszek Raabe, Zdzisław Siudyła, Zdzisław Einfeld, Władysław Pietrzykowski.

Zaczyna wzrastać w siłę środowisko lwowskie z Longinem Chmielewskim, Józefem Fellem, M. Fidererówną i Przemysławem Ogrodzińskim na czele.

W Warszawie wychodzi w latach 1937—1938 dodatek akademicki do „Robotnika", redagowany przez Leszka Raabego, pod nazwą „Akademik-Socjalista".

Zdziwiło mnie w tym ustępie szereg momentów. Ale już bodaj najbardziej brak pewnych nazwisk. Przyznaję, że kiedy zacząłem czytać ustęp dotyczący Lwowa, byłem przekonany, że obok nazwiska L. Chmielewskiego znajdę nazwiska. Brak ich uraził mię. Ich opuszczenie nabiera bowiem wyraźnego posmaku politycznego.

Żyją świadkowie tego okresu. Chociażby wzmiankowana tow. Fiderer i tow. Ogrodziński. Świadczyć o nim mogą z młodych tow. K. Dorosz, ze starszego pokolenia tow. Jan Szczyrek, tow. tow. Jadwiga i Paweł Markowscy, tow. Karaczewski. I zaświadczą chyba jednomyślnie, że właśnie owi nie wzmiankowani w tekście towarzysze na nowo w tym okresie tworzyli i kierowali ZNMS-em lwowskim. Zaświadczą też jednomyślnie, że szereg towarzyszy pracując w ZNMS-ie występowało oficjalnie z ramienia KC KZMP, a tow. T. Bojczuk był nowym ZNMS-owcem, wychowankiem połączeniowego ZNMS-u lwowskiego.

Do najpiękniejszych kart w historii PPS należy walka lewicy przeciw prawicowemu kierownictwu Pużaka- Arciszewskiego- Zaremby o jednolity front w latach 1935—1938. Słusznie też dzisiejsza PPS do tych tradycji nawiązuje, do tradycji Barlickiego, Dubois, Markowskich. Dziś ruch robotniczy rozwija się i kształtuje w nowych warunkach. Mimo trudności — te muszą istnieć w okresach przejściowych — nurt jednolitofrontowy zwyciężył i wykazał swą zbawczą siłę w walce przeciw reakcji. I dlatego właśnie nie wolno nam tracić ani jednego momentu z tej niedalekiej przeszłości, która stworzyła podstawy dzisiejszego zwycięstwa. I dlatego pozwolę sobie naprostować historię, którą — mimo woli zapewne — wypaczyła luka w zarysie historycznym, pomieszczonym w broszurze ZNMS-u.

TŁO POLITYCZNE

Był to okres narastania niebezpieczeństwa faszystowskiego. Zwycięstwo Hitlera, przewrót Dollfussa, nieudany pucz Croix de feu — to były sygnały ostrzegawcze dla klasy robotniczej. Jako odpowiedź na ofensywę faszyzmu, klasa robotnicza zaczyna kształtować front jednolity. W Polsce znajdujemy odbicie sytuacji ogólnej. Faszyzm sanacyjny wzmaga ofensywę. Likwidacja samorządów i ubezpieczalń, pogorszenie położenia klasy robotniczej, glajchszałtowanie młodzieży, reżim terroru, faszystowska konstytucja i ordynacja wyborcza. Ozon — oto poszczególne etapy rozwijającej się ofensywy faszyzmu polskiego. Odpowiedzią klasy robotniczej była wzmożona walka. Kraków, Lwów, Częstochowa, strajk chłopski 1937 r. — oto jej symbole. I w ogniu tych walk wykuwa się front jednolity. W kierownictwie ówczesnej PPS zarysowuje się wyraźnie linia podziału — lewica: jednolitofrontowcy oraz prawica: antyjednolitofrontowcy. Po stronie lewicy stali tacy ludzie jak Barlicki, Dubois, Niedziałkowski, a po stronie prawicy oficjalne kierownictwo z Pużakiem, Zarembą i Arciszewskim na czele. Rozpoczyna się walka o jednolity front wewnątrz PPS.

Walka ta znajduje szczególnie ostre odbicie na terenie Lwowa. Lwów był podówczas, dzięki połączeniu walki społecznej z narodowościową, punktem newralgicznym Polski. I dlatego też tak ostre formy przybiera tam walka w pamiętne dni kwietniowe. Powstanie kwietniowe — a było to powstanie przeciw dyktaturze sanacyjnej, — strajk tramwajarzy, strajk budowlanych, potężny 1-szy maja rozpalają atmosferę. W ogniu walk rodzi się **jednolity front**.

We Lwowie kierownictwo OKR należało do lewicy. Była to grupa towarzyszy, występująca jako grupa „Trybuny Robotniczej" z tow. tow. Szczyrkiem i Markowskim na czele. Oficjalnymi obrońcami pużakowskiego kierownictwa byli Skalak i Haduch. Gdy OKR otwarcie staje na gruncie jednolitego frontu, Warszawa zawiesza go w czynnościach, a następnie z łaski Pużaka i Zaremby wyrzuca całą kilkudziesięcio- osobową grupę najlepszych towarzyszy z partii.

Lewica posiada za sobą sympatię całego robotniczego Lwowa oraz dwie funkcjonujące placówki: tygodnik „Trybuna Robotnicza" oraz ZNMS.

POWSTANIE POŁĄCZENIOWEGO ZNMS-u

W gorące dni wykuwania się jednolitego frontu w lewicowej grupie PPS, usuniętej przez Pużaka z partii, znajdowali się dwaj przedstawiciele ZNMS-u, nieżyjący dziś niestety Józef Fell i Longin Chmielewski.

W owym czasie byli oni przedstawicielami nieistniejącej praktycznie organizacji. Po jakimś X-tym rozłamie organizacyjnym z ZNMS-u pozostała tylko firma, pieczątka oraz trzej członkowie (dosłownie — trzej). Na terenie akademickim działała jednocześnie stosunkowo silna (około 150 członków licząca) nielegalna organizacja „Życia". Liczba członków nie świadczy oczywiście o faktycznej jej sile, jeśli uwzględnimy, że była to organizacja nielegalna, za przynależność do której karano wieloletnim więzieniem.

W toku akcji amnestyjnej okazuje się potrzeba silnych legalnych organizacji. I wówczas po pertraktacjach między przedstawicielami lwowskiej lewicy PPS i kierownictwem „Życia" dochodzi do formalnej umowy połączeniowej. „Życie" wysyła 70 członków do ZNMS-u, powstaje jednolita organizacja. Kierownictwo utworzono na zasadzie parytetu z tym, że o dalszych jego losach miały decydować wybory.

Powstaje pierwsza połączeniowa organizacja młodzieżowa w Polsce. Wyniki były doskonałe. Ci, którzy znali Lwów z lat 1936—1938 pamiętają jak szybko ZNMS stał się ośrodkiem ruchu młodzieżowego, jak szybko zaczął promieniować nie tylko na teren akademicki, ale i robotniczy (organizacje młodzieżowe, związki zawodowe). ZNMS stał się punktem oporu dla lewicy, wyrzuconej z Partii. Zaczął wychowywać własne kadry i do takich ludzi uformowanych przez nowy ZNMS należeli: T. Bojczuk, Marysia Fiderer, Ogrodziński i inni.

Należy w tym miejscu zrobić jeszcze jedną poprawkę historyczną. ZNMS lwowski nie był **jednym z ośrodków** w Polsce, a był bezwątpienia **najsilniejszym** ośrodkiem w Polsce. I był nim właśnie dzięki temu, że był zjednoczeniowy. Tow. Wąsowicz wspomina o „Akademiku-socjaliście". Należałoby wspomnieć i o naszym organie, bez porównania silniejszym i poważniejszym, o organie lwowskiego ZNMS-u „Trybunie Młodych", który wychodził jako dwutygodnik. Kiedyśmy doszli do nakładu 5000 (na owe czasy bardzo dużo) zaczęliśmy promieniować na cały kraj. Otrzymywaliśmy listy od młodzieży z całej Polski. Aż przyszedł feralny 13 numer „Trybuny" i policja sanacyjna zamknęła czasopismo i jego dwu redaktorów, którym dała czas do rozmyślań więziennych.

A jak wyglądała nasza współpraca wewnętrzna? Początkowo, mimo, że byli „Życiowcy" stanowili przytłaczającą większość, współpraca ich z ZNMS-owcami była bez zarzutu. Następnie, na tle zagadnień „wyborczych" dochodziło do przejściowych tarć. Ale nigdy do zakłócenia współpracy, ani do majoryzowania się wzajem. Gdyśmy się poczubili, tośmy szli do „Ciotki", tzn. do tow. Markowskiej na sąd polubowny i tam jakoś się zawsze dochodziło do porozumienia.

Charakterystyczne jest to, że aczkolwiek zaczęliśmy współpracę przy stosunku 70:3, to bynajmniej „komuniści nie zjedli socjalistów", jak to niektórzy przepowiadali. Organizacja szkolna „Promienie" dostarczała nowych ludzi o orientacji socjalistycznej i w roku 1938 „Życiowcy" zostali w wyborach pokonani. A więc, nawet przy tak niesprzyjającym starcie, nikt nikogo nie „zjadł".

W organizacji panowała pełna demokracja. Dyskusje trwały do późnej nocy i były bardzo gorące. Zwłaszcza, gdy się u nas pojawił jeden anarchista (mówił po hiszpańsku i klął „carramba") oraz dwóch trockistów. Ale mimo różnic towarzysze lubili się, zżyli i stanowią dziś zastęp przekonanych jednolitofrontowców.

— — — — — — — —

Lwowski ZNMS nie był wcale izolowanym wyjątkiem w owym okresie.

ZNMS w skali ogólnokrajowej reprezentował lewicę jednolitofrontową. Oczywiście, w jednych ośrodkach występowało to silniej, a w innych słabiej. Najsłabiej, bodajże w środowisku warszawskim, najsilniej obok Lwowa w Wilnie, gdzie wódz lewicowej grupy został — jak twierdzono — powieszony przez sanacyjną defensywę.

W każdym razie ZNMS-owcy reprezentowali i w teorii i w praktyce lewicę. Teoretycznie, zgodnie ze starą deklaracją ideową, stali na stanowisku austro-marksizmu, przedstawiając tak jak i ich pierwowzór tendencje do 2,5 Mdzn. W praktyce ZNMS poszedł po linii jednolitego frontu.

Wprowadzona przez tow. Wąsowicza hierarchia w omawianiu stosunków ZNMS-u z innymi organizacjami opiera się na wyraźnej nieznajomości owego okresu. Wysuwanie na plan pierwszy serdecznej przyjaźni z PAML-em i „przestrzeganie — mimo trudności" zasady jednolitego frontu na drugim miejscu jest nie tylko zgrzytem w dzisiejszych warunkach, ale jest przekręcaniem prawdy historycznej, jeżeli idzie o przeszłość. Owszem, staraliśmy się o dobre stosunki z młodzieżą „Wiciową". Ale w żadnym ośrodku w owym czasie sprawa jednolitego frontu nie schodziła dla ZNMS-u na plan drugi. I tego nie trzeba się wstydzić, ani nie należy tego zamazywać. To doprawdy były najchlubniejsze momenty z historii przedwojennego ZNMS-u.

Lwowski ZNMS był najbardziej wyrazistym przykładem najlepszych tradycyj przedwojennego ZNMS-u. I dlatego warto uzupełnić jego dzieje, które tak nieszczęśliwie zostały zniekształcone w artykule tow. Wąsowicza. Zwłaszcza dziś, gdy tak skomplikowane zadania stoją przed lewicowym ruchem akademickim i gdy tak konieczne staje się zrealizowanie w skali ogólno-krajowej tego, co w swoim czasie zrealizował ZNMS lwowski — połączenia organizacyjnego bratnich związków akademickich „Życia" i ZNMS-u. Przykład lwowski najlepiej świadczy o tym, że takie połączenie jest nie tylko możliwe, ale że jest ono związane z pożytkiem dla tych celów, które stawiają przed sobą obie bratnie organizacje.

Adam Schaff

TREŚĆ NUMERU 41

Jaroszyński Maurycy — Autonomia szkoły czy autonomia nauki. **Zawodziński K. W.** — Czy i dlaczego rodzina Polanieckich jest martwą pozycją w dorobku Sienkiewicza. **Kowalewska R.** — O występach Teatru Dziecięcego pod kierownictwem p. Tamary Szumskiej **Huszcza Jan** — Uroczystości sierpniowe. **Żółkiewski Stefan** — Plon tygodnia. **Piórkowski Jerzy** — Dyskusja o Powstaniu Warszawskim. **Dygat Stanisław** — Wielkanoc. **Csato Edward** — „Stary Dworek" na scenie Teatru Powszechnego. **Otwinowski Stefan** — W Krakowie. Noty.

SPROSTOWANIE

W poprzednim 41 numerze w recenzji z „Wielkanocy" wydrukowano mylnie nazwiska niektórych aktorów. Podajemy całe zdanie, do którego wkradły się omyłki w brzmieniu właściwym: „Wszystkich innych wykonawców Maliszewskiego, Karola Leszczyńskiego, Pietraszkiewicza, Possarta należy jak najchwalebniej wymienić.

JERZY BROSZKIEWICZ

LISTOPAD

Tymczasem rozpoczęła się ostatnia dekada listopada i drzewa szpitalnego podwórza traciły w ostrych, północnych wiatrach swoje ostatnie liście. Zdarzyło się przypadkiem kilka dni pogodnych, więc rano leżał szron. Do pierwszego słońca. Ale, rzecz prosta, tak sielski nastrój nie mógł trwać długo i czwartego dnia bezchmurnej pogody, zachód opięły niskie chmury, zaś deszcz rozpadał się od nowa w ciągu nocy. Jego szelest na szybach obudził Grossmeiera a potem już nie udało się żadnym sposobem zasnąć — następnego dnia miał odwiedzić szofera i omówić z nim, tym razem już zapewne definitywnie, sprawy związane z wyjazdem. Nie było to proste — teraz już nikt w opasce nie miał żadnych innych praw do przejścia przez miasto, jak tylko z grupą obozowców, lub ludzi wysyłanych do pracy poza obręb ghetta. Należało zatem przejść przez miasto bez opaski, o zmroku. Droga taka mogła skończyć się różnie i nie po prostu. A raczej bardzo po prostu.

Szofer znowu był na rejdzie, lecz jego żona przyjęła Grossmeiera tak przyjaźnie, że droga powrotna była już łatwiejsza. Wprawdzie nowy wyjazd dało się przewidzieć dopiero w okolicach piętnastego grudnia, lecz cóż znaczyło owych kilkanaście dni wobec ostatnich trzech miesięcy? Miał być to ostatni krok do nowego losu — należało wierzyć, że do losu napewno lepszego. Przecież nawet najbardziej rygorystyczny w swym obiektywiźmie rozsądek nie wzbraniał drobnej, jednostkowej wiary w lepszy los. Powrót przez ciemne ulice przestał wreszcie wobec takich myśli grozić śmiercią, więc Grossmeier zwolnił kroku, a na Książęcej przystanął by zapalić swobodnie papierosa: odwrócił się tyłem od wiatru i uważnie osłonił zapałkę dłońmi. Ale zakrztusił się pierwszym haustem dymu, zaś nagła pewność, że ofo przez kilka sekund jego twarz była oświetlona płomieniem zapałki odpędziła wszystkie inne. Znano go w tym mieście a równie łatwo było uwierzyć w cudzą złą wolę, jak we własną bezbronność — o wiele łatwiej niż w dobrą wolę i przyjaźń.

Od tego momentu szedł szybko i bocznymi ulicami. Ale jedno było pewnym —od zdarzenia z zapałką słyszał za sobą ciągle ten sam krok: szedł mężczyzna, może nawet żołnierz; kroki miały lekki, metaliczny przydźwięk, musiało tam być na obcasach lub podeszwach jakieś właśnie żołnierskie żelazo. Grossmeier posłyszał je późno, dopiero kilka bocznic za Książęcą, lecz posłyszał je równocześnie z myślą, że ów krok towarzyszy mu już od dawna — od samej Książęcej. Teraz już, mając świadomość takiej prawdy, nie umiał się obejrzeć — miał prawo do tego samego pośpiechu co przedtem, lecz oczywista w pośpiechu tym powinny były się przejawiać uczucia i myśli poświęcone na przykład ważnemu spotkaniu, handlarskiej sprawie, pieniądzom. Może kobiecie. Poza tym należało powoli zmieniać swoją sylwetkę, a więc: wyprostować ramiona, zacząć utykać lekko na prawą nogę. Po kilkunastu krokach utykał już i trzymał się prosto. Minął tak jedną i drugą boczną uliczkę, wszedł w trzecią. I oto znalazł się w obcym całkiem mieście— tej dzielnicy nigdy nie znał dobrze, cóż dopiero w całkowitym mroku i deszczowej pogodzie: zdarzył się zatem moment, w którym uwierzył nagle, że zbłądził już na zawsze i że nigdy nie odnajdzie właściwej drogi — ściany nieznanych kamienic łączyły się z niebem na wysokości pierwszego piętra, może nieco wyżej, więc ulica była po prostu korytarzem, w którym słyszało się tylko tamten krok pobrzękujący metalową skówką. Jednak wbrew sobie szedł dalej prostując ramiona i utykając lekko na prawą nogę. Noc stawała się coraz ciemniejsza.

Skręcił w nową bocznicę i wtedy nagle ogarnął go gniew. Nikt go nie mógł zmusić do błądzenia na zawsze po obcym mieście — nawet człowiek złej woli, nieprzyjaciel i wróg. Ponieważ każda słabość ma swoją granicę we wstydzie, a przede wszystkim w odwadze. Myśląc tak odwrócił się nagłym ruchem i stanął naprężając mięśnie. Ów krok również ucichł. Zaś w sekundę później zza najbliższego rogu wytoczyło się auto oświetlając o kilka metrów przed nim nędznego człowieka patrzącego z przestrachem pod światło. W dodatku ulica przestała być korytarzem, ściany kamienic wyrosły do właściwej wysokości i dzięki temu miasto znowu stało się znajome.

A zatem Grossmeier roześmiał się bezgłośnie. Potem, równie nierozważnie jak na Książęcej, zapalił na nowo już dawno zgasłego papierosa. I znowu roześmiał się. Lecz tym razem nie z ulgą, z większym zrozumieniem wszystkiego czemu uległ, więc po prostu z goryczą. Swobodnie minął tamtego ciągle przestraszonego mężczyznę.

Gdy przy kolacji Ehrlich opowiadał o swym bardzo zmyślnym spanielu, Grossmeier wtrącił w odpowiednim momencie drobne wspomnienie:

— Tak — roześmiał się dyskretnie — psy są śmieszne. Naprzykład, kiedy całkiem mimowolne warknięcie jednego rozpędza dwa niby to przyjazne kundle w przeciwne strony.

— Komizm tu polega — osądził autorytatywnie Beck — na sytuacji urągającej wszelkim zasadom ludzkiego rozsądku.

Ehrlich zastanowił się i pokręcił nieufnie głową.

— No... — spytał. — A ludzie pijani?

— Phi! pijani — wzruszył ramionami Beck — gdzież tu rozsądek, o którym mowa? Owszem: pijani, wariaci, pewne kalectwa. To są takie same formy komizmu. Co? Jak kolega powiedział: dwa kundle.

— A strach? — wtrącił się Grossmeier.

— Oooo — powiedział Ehrlich.

— Oo — przytaknął Beck — obowiązkiem ludzkiego rozsądku...

— Właśnie — zgodził się Ehrlich.

— Tymbardziej — rozstrzygnął tę sprawę dyrektor — że na przykład psy boją się zawsze rzeczy ostatecznych, sądzę, że zawsze śmierci. Ich aparat poznawczy... A proszę: my prócz sądu poznawczego operujemy jeszcze sądem wartościującym. Nieprawdaż?

Dziwnie brzmiały w jego ustach terminy tak pretensjonalne, więc wszyscy trzej zamilkli z pewnym zakłopotaniem. W tej ciszy słyszeli wyraźnie deszcz bijący o szyby i nawet Ehrlich przechylił nieco głowę na lewe ramię gestem koncertowego słuchacza, zaś jego wąska, chuda twarz o zbyt wysoko zarysowanych brwiach uczyniła się tak całkiem spokojna, jak mogą być najdoskonalej spokojne tylko twarze ludzi nienormalnych. Wreszcie Beck poruszył się i deszcz przepadł w skrzypieniu krzeseł. Zaś Grossmeier dodał nieśmiało:

— Ostatecznie — bawił się okruchami chleba lepiąc z nich gałki — to jasne: strach jest kalectwem. I można by jeszcze...

— Ubliżającą anomalią — uciął ten temat Beck i spojrzał nieprzyjaźnie na Grossmeiera. Grossmeier umilkł posłusznie. Rzecz prosta nie z lenistwa ani z oportunizmu, ani z żadnych innych powodów psychologicznych czy intelektualnych. Chodziło o sprawy natury czysto praktycznej: teraz, gdy lada dzień należało spodziewać się Stefana musiał utrzymywać z dyrektorem stosunki jak najbardziej przyjazne. Wprawdzie znalazł już na mieście schronienie u przyjaciół, lecz w każdym razie wiedział, że Stefan będzie musiał kilka jeszcze dni pozostać w szpitalu i jeśli dotychczas Ehrlich i Lipner ukrywali — lub przynajmniej udawali tak — jednodniowych pensjonariuszy przed okiem Becka z powodzeniem, to w wypadku kilkodniowego pobytu sprawa nie mogła utrzymać się w absolutnej dyskrecji. A były to już właśnie te ostatnie dni listopada, na które podpłacony brygadier, sprytny łotrzyk Kampf, obiecał powrót Stefana.

* * *

Kampf dotrzymał obietnicy w ostatnią sobotę owego miesiąca. Ranek tego dnia był pogodny, więc szron wybielił widok z okna, potem jednak uczyniło się należycie jesiennie i ani pogoda ani nic innego nie zapowiadało żadnych ważnych wydarzeń. Około południa wywołano Grossmeiera do „transportu z obozu". Na parterze, przy portierce czekał brygadier — przyniesiono dwu chorych. Jednym odrazu zaopiekował się Ehrlich. Na drugich noszach leżał Stefan — obok stali czterej więźniowie, którzy przynieśli nosze, i obojętny askaris. Grossmeier pochylił się nad Stefanem — chłopak leżał z przymkniętymi oczyma — potem zwrócił się ku reszcie z rzeczowym objaśnieniem:

— Tyfus.

Tamci czterej przynieśli jedne i drugie nosze gdzie im wskazano, następnie równie zmęczonymi ruchami jak przedtem nachylili się nad rękojeściami pustych. By odejść. Grossmeier pozostawił Stefana na łóżku w swoim pokoju i odprowadził ich do bramy, lecz gdy wrócił zastał Stefana przy oknie: widać stąd było ulicę, po której szli tamci czterej ze swym nadmiernym trudem, zaś za nimi sprytny łotrzyk, brygadier Kampf i askaris — nad plecami askarisa kołysała się matowa w takiej pogodzie długa lufa karabinu. Stefan nie witał się, tylko uchwyciwszy lekarza za ramię powiedział szybko:

— Ci dwaj pierwsi to Sokalski i Sznajder. Tamtych nie znam. Ale ci byli w mojej grupie.

Wargi mu drżały. Po chwili widoczny z okna skrawek ulicy był już pusty, więc Grossmeier podał chłopcu rękę.

— Wykąpiesz się, — zapytał — co?

Łazienka była brudna i uboga. Ale lekarz przyniósł swój kąpielowy, włochaty płaszcz w czerwone i żółte pasy, pantofle, pudełko papierosów, zapałki. Naregulował wodę tuszów, która zaczęła bić o kamienną posadzkę niczem wesoły, rzęsisty i czerwcowy deszcz. Stefan stał na boku bez słowa i nie zaczął się nawet rozbierać — był bardzo chudy i blady, włosy zgolone tuż przy skórze, więc uszy odstawały mu od głowy, pod oczyma cienie a wargi starał się zacisnąć w mocną, wąską linię i z wysiłku przełykał tylko ślinę. Grossmeier uśmiechnął się ku podłodze:

— Oto kąpiel.

Zdążył wyjść tak szybko, by nie zauważyć pierwszych łez Stefana, którym należało chyba pozwolić płynąć w samotności.

Udał się do Becka i tym razem, mimo pewnej obawy określił sytuację jasno, właściwymi słowami i tonem rzeczowym, grzecznym lecz suchym. Beck siedział przy swoim biurku odwrócony do Grossmeiera nieco bokiem. Początkowo uśmiechał się zapraszająco i grzecznym gestem wskazał gościowi najbliższe krzesło, ale już po pierwszych słowach zobojętniał, pochylił się nad biurkiem i przeglądając kartotekę chorych, wpisywał potrzebne widać dane do małego notatnika tak pedantycznie, jakby nikogo poza nim nie było w pokoju. Gdy Grossmeier skończył zapadło milczenie nadmiernie długie. W końcu Beck nie przerywając swej czynności odpowiedział — czynił to, mówiąc raczej do siebie, z długimi pauzami po każdym prawie słowie, gdyż — widać było — wyraźnie zamierzał zaznaczyć swą definitywną obojętność wobec poruszonego tutaj problemu.

— Tak — kartkował stronice notesika. — Bardzo proszę — zapisał — ale doktór — przeglądał znowu kartotekę — wie. Ja, prawda. Nie przyjmuję do wiadomości. Ani — sięgnął po papierosa — oficjalnie, ani — zapalił go — towarzysko.

Grossmeier odetchnął głęboko, wstał i podszedł ku niemu.

— Dziękuję, dyrektorze.

Beck odpowiedział z suchym wyrzutem.

— A ja dziękuję za... zaufanie. Zresztą — wzruszył ramionami — kolega wie: ja nigdy i nikogo nie krępuję.

Gdy Stefan wrócił po kąpieli przywitali się. Oczywista brakło słów do pokrycia milczenia, które zaczynało się co chwila. Grossmeier starał się zresztą okazywać jak najmniej przyjaźni, odwagi czy troskliwości — nie dawało się postąpić inaczej.

Siedzieli na przeciw siebie. Stefan otulony nadal w płaszcz o tak ekscentrycznych i płomienistych barwach był jeszcze bledszy niż przed godziną. Siedział spokojnie paląc papierosa, lecz nawet tu nie czuło się żadnej swobody. Usiadł tak by widzieć, a raczej: by patrzeć na drzwi. Poza tym w całej jego postawie czuło się czujną karność. Chęć milczenia. I właściwie, w końcu żadnego oporu ani żadnej innej chęci poza tamtą jedną. Rzecz prosta lekarz szukał właściwego klucza do rozmowy — początkowo była to sprawa wyjazdu. Wyjaśnił termin przypuszczalnego rejdu i wspomniał o ludziach, u których Stefan miał zamieszkać na tych kilka dni. Jednak nie udało się: Stefan nie dał się wytrącić ze swej czujnej karności ani z przypatrywania się drzwiom. W końcu ożywił się, choć na krótko. Wpadł Grossmeierowi w zdanie.

— Wiesz? — mówił ostro lecz cicho — zbili nas jeszcze przy wynoszeniu. Sam Kampf. I ten askaris.

Opowiedział krótko przebieg owego pożegnania z obozem. A zaraz potem wyjaśnił w kilku słowach samą teorię bicia. Uznał to widać za konieczne.

— Jedni — wyliczył na wystawionym z zaciśniętej pięści dużym palcu— biją tak, aby było widać: uszy, nos, wargi, palce... Wszystko w strzępy. Boją się tego wszyscy. No... — dodał z nieoczekiwanie pobłażliwym uśmiechem — ostatecznie... jest czego się bać, jak wszystko w strzępy.

Chwilę tarł policzek.

— Trzeba się ogolić — mruknął.

Ale zaraz przypomniał sobie poruszoną kwestię i w dalszym wyliczaniu rodzajów wystawił wskazujący palec, który dla podkreślenia wagi słów ujął drugą dłonią i uniósł ku górze. Brwi podniósł także, lecz nie było to zdziwienie.

— Ale drudzy? Ooo, — pokręcił głową — tu jest czego się bać: oni niby tylko tak — tłumaczył także gestami— że trochę sińców, siniec tu lub tam. A pod spodem? wszystkie bebechy, nerki, wątroba, flaki... na nic. Rozumiesz? Ciało zawsze było jakąś tajemnicą. Szanowaną tajemnicą. I oto oni nawet tu... co? Nawet tu! — krzyknął.

Grossmeier wstał.

— Ja jeszcze trochę pójdę do chorych.

— Tak — zgodził się Stefan już obojętnie.

Lekarz zaglądnąwszy w kilka minut później do pokoiku uśmiechnął się z ulgą — Stefan spał. Obudził się dopiero wtedy, gdy Grossmeier wniósł jedzenie. W pierwszej chwili zamierzał zerwać się na nogi, ale powoli, z coraz większym zaufanie i z coraz mniej czujną karnością rozprężył się na łóżku. Jedząc łapczywie opowiadał:

— Śniła mi się Długa ulica. Tyle, że na jej początku nie było kościoła tylko Politechnika. I patrz jak pięknie: idę, potem unoszę ręce i oto lecę, lecę... prosto na Politechnikę. Lecę... — zmarszczył czoło — to chyba dobry cen. Co?

— Chyba — zastanowił się Grossmeier — chyba tak.

Jerzy Broszkiewicz.

---

*) Fragment powieści pt. „Oczekiwanie".

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Major Barbara — i Apokalipsa Bernarda Shawa

W niektórych utworach Bernarda Shawa zdolność i umiejętność przewidywania nieuchronnego rozwoju pewnych sytuacji ekonomiczno - społecznych — i trafność w określaniu ich — dochodzi w swej literackiej postaci do szczytów wprost zdumiewających. Ten ironicznie uśmiechnięty myśliciel napisał „Majora Barbarę" gdzieś około 1906 roku — pokazując w tej sztuce scenicznej, niby w soczewce ostrzegawczego sygnału, proces formowania faszyzmu przez absurdalnie rozrośnięty kapitalizm. Proces, który stał się przecież powszechnie widoczny dopiero po pierwszej wojnie światowej.

Rok 1906 to moment, w którym powstałe na przestrzeni XIX wieku teorie i postulaty socjalizmu — socjalizmu bardzo jeszcze w Anglii nieskrystalizowanego i różnorodnego — zaczynały znowu w skromnym zakresie podważać praktycznie kapitalizm, wywierając nacisk na ustawodawstwo. Tym razem robił to w Anglii „fabianizm". A Bernard Shaw był przecież jednym z pierwszych (wraz z Sidney Webbem i Ramsey Macdonaldem) filarów założonego w 1884 roku „Fabian Society".

Nie można oddzielić Shawa-pisarza od jego czynnej postawy politycznej, a więc od socjalizmu „fabiańskiego", któremu Shaw jest do dziś dnia wierny, jak to wynika z jego wypowiedzi obecnych. Na Fabianiźmie zaważyły wpływy Marxa, chociaż punktem wyjścia był dla tego socjalizmu raczej John Stuart Mill, mgliście i abstrakcyjnie ujmujący zagadnienia socjalne. W rezultacie tych obu wpływów Fabianizm żądał ustroju, opartego na socjaliźmie państwowym i kolektywiźmie, głosząc przy tym pogląd, że ówczesne Państwo nie nadawało się do wypełniania wynikających stąd nowych zadań i że wobec tego należało jego konstrukcję zwalczać. Stał na stanowisku, że tylko takie państwo może dyktować warunki robotnikom, które samo w sobie jest państwem robotniczym. Jednakże cele te chciał Fabianizm osiągnąć drogą powolnej ewolucji, drogą jedynie stopniowego wywalczania coraz lepszych warunków pracy i coraz szerszej kontroli społecznej.

Stąd rola zwolenników tego socjalizmu sprowadziła się w praktyce do opóźniania radykalnej poprawy stosunków społecznych i do kontrowania rewolucyjnego marksizmu, niewiele zagrażając równocześnie potężnemu kapitałowi. Engels krytykuje „Fabianów" ostro, nazywając ich ludźmi, którzy posiadają dość zdrowego rozsądku, by rozumieć konieczność reform socjalnych, ale których zasadą jest strach przed rewolucją. Przed zarzutami marksistów, że w ten sposób Fabianizm w rezultacie chronił ustrój kapitalistyczny przed załamaniem się, a więc szedł mu na rękę — Bernard Shaw, niedalej jak cztery miesiące temu, na łamach tygodnika „Tribune" z 7 czerwca 1946 r., wygłasza taką obronę: „... Niestety, zorganizowani robotnicy mieli wprawdzie pieniądze, aby realizować metody Fabianizmu, ale nie mieli ani mózgów, ani wiedzy, ani charakteru. W tym stanie rzeczy kapitaliści przejęli te metody i obrócili je w Kapitalizm Państwowy, czyli Faszym".

Tak czy inaczej — rezultat ten sam. W każdym razie dziś z perspektywy dziejów widzimy wyraźnie, że słabością Fabianizmu było to właśnie, że nie wierzył on w możliwość rewolucji klasy robotniczej przeciwko wielkiemu kapitałowi. Natomiast niewątpliwą siłą to, że w swych postulatach nie ograniczał się do celów ekonomicznych tylko, ale żądał dla klasy robotniczej władzy politycznej.

Stąd właśnie — już czterdzieści lat temu — z takim sarkazmem kreślił Shaw w „Majorze Barbarze" obraz „idealnego" miasteczka robotniczego na terenach fabryki zbrojeniowej Undershafta, gdzie pracownicy mają szpitale, łazienki, jadłodajnie i dobre płace — ale nie mają żadnego wpływu na sprawę dla której pracują i są w rezultacie marjonetkami tylko, bezwolnym narzędziem w rękach cynicznego handlarza śmiercią.

Że Fabianizm w pewnym momencie pomoże kapitalistom, którzy przejmą jego metody, tego Bernard Shaw nie przewidział. Natomiast samą istotę dalszej polityki kapitalizmu przewidział już na początku obecnego stulecia w „Majorze Barbarze" z taką wnikliwością, że sztuka ta stała się nie tylko ostrą satyrą na współczesność, ale i groźnym, a przytym — jak potem historia potwierdziła — niemal bezbłędnie trafnym ostrzeżeniem.

Wizja tego co miało nadejść, a co my już teraz — bogaci w konkretne doświadczenia — nazywamy faszyzmem, uchwycona została i ujęta w sztuce przez Bernarda Shawa dzięki koncepcjom filozoficznym Nietschego, wysuwającym idealistyczne i sztuczne pomysły „nadczłowieka", „rasy panów", tworzenia jakiejś ponadindywidualnej, transcendentalnej „mocy" i „władzy" w świecie. Gdy o tym samym mówią w swym dialogu przy końcu ostatniego aktu Barbara Undershaft i Adolf Cusins to wydaje się nam, jak gdybyśmy byli świadkami pierwszej rozmowy naprzykład Rosenberga z Hitlerem — i jeszcze raz uprzytomniamy sobie jak dalece w Nietschem właśnie znajdywał hitleryzm swoje preteksty. Ale imponująca jasność myśli Bernarda Shawa nie na tym oczywiście polega, że znał filozofię Nietschego. Na tym natomiast, że odgadł komu zależeć będzie na powstaniu ruchu politycznego o takiej ideologii i kto ten ruch dla swoich celów sfinansuje. Że pokazać umiał w literackim skrócie cały zakonspirowany mechanizm walki wielkiego kapitału o swą dalszą władze nad światem. Andrzejowi Undershaft, producentowi broni, potrzebne są wojny, wszystko jedno gdzie i wszystko jedno jakie — i wie co robi, gdy interesuje się pełną „silnego charakteru" idealistką z Armii Zbawienia i jej wielbicielem, znawcą mitologii, cynicznym w głębi duszy hipokrytą.

G. BERNARD SHAW
fragment obrazu Feliksa Topolskiego, reprodukowany w wyd. „Polish Artist in GreatBritain".

I o to tu chodzi przede wszystkim. To też w widowisku, wystawianym obecnie w Łodzi przez Kameralny Teatr Domu Żołnierza popełniono — moim zdaniem — jeden mały błąd (jeden — a więc nie dużo). Ten mały błąd jednak jasność obrazu nieco wypacza. Mianowicie słowa Cusinsa, owego wielbiciela Barbary, który godząc się być spadkobiercą przemysłu zbrojeniowego Undershaftów zapowiada, że robi to aby „wydać wojnę wojnie" — podniesiono w reżyserii sytuacją sceniczną i natężeniem głosu do godności najważniejszych kulminacyjnych słów tekstu. Wolno było hipokrycie uspokoić swoje sumienie czy też sumienie Barbary takim frazesem, ale nie widzę powodu dlaczego miałoby się — przez potraktowanie tego powiedzenia tak serio — uspokajać sumienie publiczności, mylić tę publiczność co do wyraźnych chyba intencji sztuki. Myśl, zawarta w tym powiedzeniu, nie jest wcale w sztuce pointą, a raczej świadomą naiwnością. Do tej myśli Cusins już nie powraca. I ani on, ani Barbara nie powrócą już do niej nigdy. Chyba dopiero po podbiciu całego świata. A do tego stary Undershaft nie dopuści...

Ten najściślejszy związek wielkiego kapitału z narodzinami przyszłego faszyzmu podkreśla Bernard Shaw w tekście — jakgdyby w jakimś doskonałym objawieniu — niemal co chwila. Jest to zupełnie wyraźne, chociaż cała sprawa scharakteryzowana tu została w otoczeniu i innych napomknięć, posiadających wówczas aktualność bardziej bezpośrednią, a dających nie tylko tło obyczajowe epoki, satyrycznie ujęte, ale i fragmenty najdrastyczniejszych zagadnień, jakie w danym momencie pojawiały się w bardziej racjonalnych rejonach myśli angielskiej. Bernard Shaw zbyt żywo na zagadnienia reaguje, aby móc oprzeć się pokusie wypowiadania od razu wszystkiego, co mu się wydaje najaktualniejsze. Stąd niektóre jego sztuki, szczególnie wcześniejsze, robią wrażenie na pozór chaotycznych. Jest to przeważnie jednak pozór właśnie. Tendencja zasadnicza jest na ogół zawsze w rezultacie wyraźna. Jeżeli autor — aby przy okazji rozprawić się z idealizmem — każe fabrykantowi broni atakować idealistyczny pogląd na świat właśnie wobec Barbary, której idealizm potentat ten przecież chce dla swoich celów kupić — to ta przekora pisarza wobec zasad kupieckiego sprytu ani samej istoty rzeczy ani zasadniczej tendencji sztuki nie zmienia. Najważniejszym tu pozostaje to, że dzięki temu dialogowi autor tym wyraźniej wskazał palcem w przyszłość: patrzący na świat realnie z punktu widzenia swoich interesów kapitalista zaprzągnie do swego pługa idealistów, aby mu zbudowali — potrzebny do pomnożenia jego obrotów handlowych — faszyzm.

I jeżeli tyle w tej sztuce jest mowy o Armii Zbawienia — która w Anglii, wśród dziesiątków przeróżnych protestanckich sekt religijnych, jest dotychczas jeszcze dość popularną instytucją „zbawiającą duszę" i rozwijającą działalność charytatywną — to nie tylko po to, aby wykazać jej śmieszność, łatwowierność jej „kapłanów" i prawdziwe oblicza rzekomo „nawróconych", ale przede wszystkim dlatego, aby podkreślić jak najmocniej, że same zasady tego rodzaju pracy społecznej przysługują się interesom kapitalistów, gdyż: „...czynią ich (t. j. robotników) zadowolonymi i szczęśliwymi — nieoceniony środek ochronny przeciw rewolucji, ...kierują ich myśli ku rzeczom poza-ziemskim — a więc nie ku ziemskim Związkom Zawodowym i socjalizmowi. Znakomicie", — jak stwierdza w akcie II-im Andrzej Undershaft, fabrykant broni.

Wprawdzie fabianizm Webba i Shawa też był — chociaż w inny sposób — „nieocenionym środkiem ochronnym przeciw rewolucji", ale podkreślić chcę przy tej okazji właśnie, że Bernard Shaw często w swych sztukach ponad swój fabianizm wyrastał, potrafił sięgać myślą szerzej i dalej, jednocześnie nie wyrzekając się swej przynależności. Jak gdyby — wszystko widząc w sposób tak ostry i krytyczny — nie chciał widzieć pewnych mankamentów, jakie tkwiły w założeniach tej ideologii.

Z drugiej strony — to ostre widzenie w żadnej z jego sztuk nie osiąga takiej przejrzystości, jak w „Majorze Barbarze". Nigdzie nie stworzył tak doskonałej i ciągle jeszcze aktualnej satyry na typ ludzi, z którego powstają angielscy „politycy" i „mężowie stanu", jak w postaci i wypowiedziach młodego Stefana Undershafta. Z niezwykłą też trafnością w swym sarkazmie odgaduje i określa już w roku 1906 dzisiejszą, widoczną dopiero teraz w pełni, rolę społeczną „starego, szlachetnego liberała", który niczemu nie jest w stanie zapobiec i niczego zbudować. Tę rolę prezentuje w trzecim akcie Lady Britomart Undershaft, kiedy zdając sobie sprawę — ona jedna — z charakteru otaczających ją łajdactw, wpada w pasję i obrzuca wszystkich po kolei gwałtownymi, ale trafnymi epitetami. I kończy tę tyradę tak: „...Teraz wiecie wszyscy co o was sądzę, a ja przynajmniej mam czyste sumienie". A na to Undershaft: „Moja droga, ty jesteś wcieleniem moralności. Twoje sumienie jest czyste i powinność spełniona, bo przypięłaś nam wszystkim czarną łatkę..." Tak, powinność liberała spełniona. Na nic więcej go nie stać.

A tymczasem Barbara, major Armii Zbawienia, oraz Cusins, profesor greki, zabierają się do tworzenia w świecie „władzy i mocy" za pieniądze Undershafta, angielskiego, a właściwie już międzynarodowego producenta broni.

WALT WHITMAN.

HISZPANIA w 1873—1874 r.

Z mroku najbardziej ciężkich chmur,
Spod feodalnych gruzów, spod zwału królewskich szkieletów,
Spod starych europejskich łachów, gdy zamilkła błazeńska maskarada,
Spod ruin kościołów i pałaców, spoza grobowców księżych
Naraz wyjrzało ku nam świeże, jasne oblicze Wolności, znajome nieśmiertelne oblicze.
Nie zapomnieliśmy ciebie, kochana,
Czyżbyś tak długo się ukrywała? I czy znowu chmury cię przesłonią?
Jednak zjawiłaś się nam, znamy już ciebie,
Teraz już wątpić nie wolno, widzieliśmy ciebie,
Tyś tam, ty czekasz, ażeby przyszedł wreszcie twój czas.

Przełożył SEWERYN POLLAK.

W 1873 r. król hiszpański, Amadeusz, zmuszony był abdykować. Ogłoszono republikę. Zaczęła się wojna domowa. Na czele państwa stanął radykał Emilio Castelar (1832—1899), wybitny uczony, znakomity mówca, polityk, obdarzony wielkimi zdolnościami administracyjnymi. Castelar usiłował ustalić ustrój republikański, lecz w początkach 1874 r. został obalony przez reakcyjny parlament. Anarchia, która nastąpiła potem, doprowadziła do restauracji ustroju monarchistycznego i po kilku miesiącach na tron Hiszpanii wstąpił Alfons XII. O tym właśnie okresie między dwiema monarchiami wspomina Walt Whitman, gdy mówi o nagłym, krótkim ukazaniu się Wolności „spod starych europejskich łachów".

Wiersz Whitmana obecnie, w okresie panowania Franco nad ludem hiszpańskim, nabiera znów cech aktualności.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

PO WYROKU NORYMBERSKIM

Minister Sprawiedliwości — Henryk Świątkowski, omawiając w wywiadzie prasowym znaczenie wyroku norymberskiego, zwrócił m. in. uwagę na historyczną doniosłość faktu, że przewód sądowy w Norymberdze ustalił ponad wszelką wątpliwość winę Niemiec jako sprawców wojny i stworzył podstawy międzynarodowego kodeksu karnego. Dotychczas wojna była uważana za legalny środek politycznego działania, za zbrojny wariant metod dyplomatycznego nacisku. Obecnie Trybunał Norymberski potępił wojnę i zakwalifikował ją jako przestępstwo, za które grozi sprawcom odpowiedzialność międzynarodowa.

Ten autorytatywny komentarz ma niewątpliwie dużą wagę, ujmuje bowiem w paru słowach najgłębszy, najistotniejszy sens wielkiego procesu, niezależnie od pewnych szczegółów i akcesoriów, budzących opinie sprzeczne, protesty, gniew i oburzenie. W interesie ludzkim i pokoju leżałby taki wyrok, który zaspokoiłby powszechne poczucie sprawiedliwości i spotkał się z ogólną aprobatą. Niestety, tak się nie stało: pomiędzy deklaratywną stroną wyroku, a częścią orzekającą o winie i karze podsądnych zarysowała się niewątpliwa rozbieżność, skąd właśnie — sprzeciwy, obiekcje i zastrzeżenia.

Rozbieżność ta znalazła wyraz szczególnie uderzający w fakcie uniewinnienia trzech spośród sądzonych zbrodniarzy oraz czterech organizacyj cywilnych i wojskowych, które miały charakter przestępczy. Zarówno materiał oskarżycielski, jak i przewód sądowy nie dawały bynajmniej podstaw do mniemania, że sentencja wyroku w stosunku do tych osób i organizacyj wypadnie uniewinniająco. Skąd więc ta niespodzianka?

Aby odpowiedzieć na pytanie, trzeba wyjść z jedynie słusznego założenia, że sędziowie norymberscy, w ciągu prawie jedenastu miesięcy swojej trudnej pracy, nie żyli i nie urzędowali w próżni, lecz podlegali wpływom i prądom określonego klimatu politycznego. Normy prawne, tak samo jak forma i treść wymiaru sprawiedliwości, nie są czymś absolutnym i niezmiennym. Ulegają one, jak wiadomo, rozległym modyfikacjom w toku przemian historycznych, w zależności od przekształceń społeczno-gospodarczych podłoża ustrojowego. Skoro „to co jest grzechem po jednej stronie rzeki, bywa cnotą na drugim jej brzegu", nie można i wykonawcom prawa przypisywać cech obiektywizmu ponad czasem i przestrzenią, taka bowiem supozycja stałaby w niezgodzie z istotą natury ludzkiej sędziego, który — chcąc nie chcąc, wiedząc czy nie wiedząc — podlega naciskom zewnętrznym i nie bez ich udziału swe pojęcia i wyroki formułuje.

Wyrok norymberski stał się końcowym efektem 404 posiedzeń Trybunału i wymagał preliminarnej dokumentacji w postaci 80.000 stron pisanych materiałów. Aby odnaleźć rozbieżność pomiędzy główną tezą wyroku, co do pełnej odpowiedzialności za zbrodnię wojny, a uniewinnieniem części oskarżonych, nie potrzeba rekapitulować pro i contra całego przewodu sądowego, wystarczy — jak mniemam — podkreślić jedynie cechy i właściwości dwóch spośród uniewinnionych, stawiając ich zarazem w świetle znanych powszechnie bieżących dążeń polityki mocarstw zachodnich.

Franz Papen i Hjalmar Schacht nie mogą uchodzić nawet w najmniej świadomej opinii za zwykłe pionki reżymu hitlerowskiego. Ci dwaj ludzie — to niewątpliwie najtęższe głowy wśród wszystkich 21 podsądnych i im to przede wszystkim, a nie Hessowi, Keitlowi czy Goeringowi świat ma „dę zawdzięczenia", że hitleryzm doszedł do władzy i spustoszył Europę. Aby zbudować Trzecią Rzeszę trzeba było mózgów — i pieniędzy; szturmówki i Gestapo — było to już podpórki brunatnego gmachu.

Papen stał się głośny podczas pierwszej wojny światowej, jako organizator wywiadu i sabotażu niemieckiego w USA, gdzie przebywał w charakterze członka ambasady. Czasy Republiki Weimarskiej ugruntowały karierę polityczną von Papena, który, będąc działaczem katolickiej partii „Centrum", ściśle związanym z kołami junkiersko-kapitalistycznym, wywierał wielki wpływ na politykę Niemiec i kierunek jej wyznaczał. W r. 1932 Papen dokonał zamachu stanu, objął kierownictwo rządu pozaparlamentarnego i jako cichy mandatariusz partii hitlerowskiej torował jej drogę do władzy. Wybitne zdolności Papena znalazły zastosowanie po 1933 w dziedzinie dyplomatycznej. Na stanowisku posła niemieckiego w Wiedniu Papen wiecznie i przebiegle montował anschlussowy finał, później zaś, już w toku wojny, jako ambasador w Ankarze, niemało przysłużył się Hitlerowi, pracując nad utrzymaniem polityki tureckiej w ramach przyjaznej dla Trzeciej Rzeszy neutralności. Ze względu na ogólną sytuację strategiczną była to dla Niemiec kwestia niemałej doniosłości.

Co się tyczy Schachta, już w r. 1930 nawiązał on bliski kontakt z przywódcami ruchu hitlerowskiego. W r. 1932 organizował akcję wśród przemysłowców niemieckich, celem wymuszenia na Hindenburgu nominacji kanclerskiej dla Hitlera. W r. 1933 Schacht przeprowadził „zbiórkę" na cele wyborcze NSDAP, dzięki czemu fundusz partyjny powiększył się o 3 miliony marek. Na stanowisku prezesa Banku Rzeszy Schacht stał się praktycznym dyktatorem finansów niemieckich i kierownikiem polityki gospodarczej Rzeszy. To stanowisko umożliwiło mu nawiązanie bliskich kontaktów z finansjerą angielską i amerykańską. W latach poprzedzających wojnę odbywały się z udziałem Schachta międzynarodowe konferencje kapitalistów w Berlinie i Londynie, a celem tych narad był „zgodny" podział wpływów i zysków pomiędzy zainteresowanymi. Tych koneksyj nie przecięła nawet wojna — i do dziś dnia Schacht należy do ludzi najbardziej ustosunkowanych w kapitalistycznych sferach Zachodu.

Biorąc powyższe pod uwagę, trudno było sobie wyobrazić, że — przy skrupulatnym różniczkowaniu winy poszczególnych oskarżonych — Papen i Schacht znajdą się na najniższych szczeblach skali penalnej, a tym bardziej, że zostaną — uniewinnieni. Jeśli się jednak tak stało, muszą istnieć po temu przyczyny, — i takie przyczyny niewątpliwie istnieją, choć leżą poza sferą norymberskiej jurysdykcji.

Szczegółem drobnym, lecz rzucającym niezmiernie charakterystyczne światło na to zagadnienie jest pewien passus z „ostatniego słowa" Schachta. Otóż oskarżony mierząc oczywiście poza mury sali Trybunału, oświadczył m. in., że pewien dyplomata amerykański powiedział mu w Berlinie, jeszcze przed przystąpieniem USA do wojny, że on — Schacht — będzie aliantom po wojnie — potrzebny... W równej mierze, jak Schacht, może się okazać potrzebny aliantom zachodnim i von Papen. Schacht nie należy z pewnością do ludzi, rzucających słowa na wiatr. Komentarze do słów Schachta pisze... bieżąca praktyka polityczna. I to nam najzupełniej wystarcza.

Wyrok norymberski nie zaspokoił całkowicie naszego poczucia sprawiedliwości, są bowiem w tym wyroku luki i dysproporcje, które muszą nie tylko dziwić, lecz i głęboko niepokoić. Ale wymiar sprawiedliwości nie jest wykwitem jurydycznej abstrakcji, aparat sądowy w Norymberdze nie funkcjonował pod szklanym dzwonem, niezależnie od realnych uwarunkowań polityczno-gospodarczych. Wyrok norymberski — to jeszcze jedno historyczne wskazanie, że sprawiedliwość naprawdę sprawiedliwa musi być budowana od podstaw. Że jej istota tkwi nie w literze pisanych kodeksów i nie w doskonałościach procedury, lecz w żywym poczuciu zbiorowości ludzkich, które w akcie wymiaru sprawiedliwości pragną zawsze widzieć wyraz swych sprawiedliwych potrzeb, pojęć i nadziei. Im bardziej bliska tym potrzebom, pojęciom i nadziejom jest realność bytu, tym doskonalszą staje się sprawiedliwość werdyktów sądowych, tym większa jest harmonia między sądzącymi a społecznością, której mają służyć. Międzynarodowość Trybunału norymberskiego musiała na jego orzeczeniach wycisnąć piętno niejednolitości, musiała powodować różnice zdań, prowadząc aż do votum separatum sędziego radzieckiego co do uniewinniającej części wyroku.

Bolesław Dudziński

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List siódmy)

Byłem w Łodzi. Okrężną drogą przez Katowice. Widziałem trochę świata. Tak. Zwłaszcza między Częstochową a Katowicami krajobraz przemysłowy równoważy nas naprawdę z Europą. Z tymi krajami, które znają wagę pracy, systemu, postępu.

W Katowicach, Bytomiu, Sosnowcu można spotkać ludzi, myślących kategoriami racjonalnymi. W toku rozmów z górnikami, inżynierami prostują się nasze myśli. Kraków oddala się — zostaje, jak wyspa martwa. I trochę bezludna. Naprawdę. Odruchy tego stołecznego miasta mało przypominają ludzki wyraz woli posuwania się naprzód. Wspomnienie uroczego miasta świeci jak gwiazda. I to prawda. Świat oderwany od ziemi. Meteor. Jeśli chcecie życzliwej sprawiedliwości — macie ją.

W pociągu między Zawierciem a Katowicami rozmawiałem z trzema inżynierami o energii atomowej. Zresztą i w Krakowie używa się energii—żeby w bezsensownej gadaninie ukuć jeszcze jeden dowcip na temat bomby. Dopiero w podróży poznałem ludzi, których postęp techniczny nie prowokuje do kpin. Są przecież ludzie w Polsce, których troska ma szerokie granice...

Kraków szczyci się, że jest stolicą humanizmu polskiego. Inżynierowie z Sosnowca martwią się, że ewolucja odkryć nie ma niestety koniecznego satelity w naukach humanistycznych. Technicy śląscy proponują także w teoretycznych — jakże interesujących rozmowach — żeby obok okręgów przemysłowych istniały wzorowo zorganizowane okręgi przerabiające myśl w zgodzie z tamtym postępem...

Przytaczam dosłownie... Groza bomby atomowej jest realna — tylko o tyle, o ile narody wyrzekną się swej cywilizacji. Energia powietrzna mogłaby służyć znakomicie człowiekowi w zastosowaniu pokojowym. Kształtują się już projekty nowego aero-dynama, transformatora. Powietrze nie będzie konkurentem, lecz następcą węgla. Technik wypełnia swoją misję — spóźnia się mediator. Gdzież są twórcze, kształcące, panujące ośrodki humanizmu?... Pytanie uderza wyraźnie w moją osobę. Zaświecił mi Kraków w pamięci. Meteor! Roześmiali się moi rozmówcy.

Nie trzeba się martwić przedwcześnie. Pracuje także humanizm. Ale działalność jego jest stokroć trudniejsza. Łatwiej rozłożyć atom aniżeli przewietrzyć analizą przesąd.

Sprawa jest jeszcze inaczej skomplikowana. Nad wolą człowieka czuwa funkcja podwójna. Ogranicza go źle lub dobrze religia. Oswobadza go prędzej lub wolniej literatura, sztuka, filozofia.

W Polsce nigdy kościół nie był w zgodzie z oświatą. Masę, nawet dobrej energii marnowało się na tę walkę. Dziś konflikt nie złagodniał.

Zaryzykowałem także obronę nauk humanistycznych. Ale zamiast konfliktu zjawił się między nami sojusz. Inżynierowie śląscy dali mi dużo argumentów. Znają człowieka nie gorzej od maszyny.

Moc kleru katolickiego w Polsce jest siłą. Podtrzymuje niewiarę w narodzie skłonnym do krytyki. Nie daje żadnego pozytywnego programu umoralniającego... W czasach zrozumiałej powojennej nieufności, anarchii żeruje na taktyce, korzysta ze swej wiekowej organizacji. Więcej nic. Bezpośrednio kler ma w ludzie polskim absolutnego wroga. Przedziału między merkantylną plebanią a ubogą chałupą nie zniosła nawet naturalna religijność rolnika. Struktura tego przedziału jest zresztą obecnie ostatnią istotą związku. Nie rzadko w Polsce paradoks rządził sytuacją. Ale nie zapominajmy — logika jest cierpliwsza od psychologii. Światlejsi katolicy czują możliwość klęski. Tak. Trudno się nie spodziewać jeszcze jednej — może znowu łagodnej — rewolucji. Reformy?

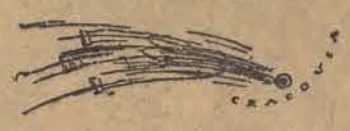

Odgórna myśl katolicka w Polsce? Gdzież jej ślady? Kilku tragicznie odosobnionych, piszących bez żarliwości i wpływu. Sfora indyferentnych religijnie błaznów, na łamach tygodników katolickich. Jak wierzyć w siłę takiego odrodzenia?

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I Ą Ż K A"

sierpień — wrzesień — 1946 r.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH

A. MICKIEWICZ
Pan Tadeusz wyd. IV
zł. 60,—
Konrad Wallenrod
zł. 45,—
Grażyna
zł. 25,—

J. KOCHANOWSKI
Wybór poezji
zł. 90,—

J. SŁOWACKI
Kordian
zł. 55,—
Beniowski
Lilla Weneda

B. PRUS
Faraon

WŁ. REYMONT
Chłopi

„K S I Ą Ż K A"

HENRI MOUGIN

FORMALIZM A SZTUKA SOWIECKA *)

Interesujące pismo angielskie „The Modern Quarterly" opublikowało ciekawy artykuł F. D. Klingendera o niedawnej wystawie sztuki rosyjskiej w Akademii. Artykuł ten, niezwykle bogaty w pomysły i sformułowania, zasługuje na odpowiedź; powstał on w wyniku

Antinous. Relief w Villa Albani w Rzymie

dyskusji godnej uwagi zarówno ze względu na jej znaczenie ogólne, jak i wielkie korzyści, które przynosi.

Poruszony problem można by ująć w sposób następujący:

„Czy realizm, w tej formie, w jakiej wyraża się w plastyce sowieckiej, jest przewrotem rewolucyjnym w stosunku do „formalizmu" nowoczesnej sztuki Zachodu?"

Postawienie tego problemu to co najmniej dowód odwagi; w ten sposób naraża się swą opinię znawcy, krytyka, a nawet intelektualisty. Lecz z drugiej strony: co myśleć o tych, którzy się przed nim wzdragają?

* * *

Krytycy angielscy interpretują sztukę sowiecką jako „cofnięcie się wstecz, ku sentymentalnemu naturalizmowi okresu wiktoriańskiego". Sądzą bowiem, że podkreślając podobieństwo do sztuki wiktoriańskiej, obniżają wartość sztuki sowieckiej. Tymczasem ci sami krytycy przejawiają zastanawiający snobizm we względach, jakimi darzą epokę wiktoriańską. Przecież właśnie reprodukcje wiktoriańskie widzi się teraz na ścianach w Chelsea czy Hampstead; przyklaskuje się Le Corbusierowi, gdy wprowadza meble wiktoriańskie, imitację rokoka, do swych najbardziej nowoczesnych wnętrz, albo gdy cofa się do baroku XVII i XVIII wieku (a nawet do gotyku), aż do wiktoriańskiej restauracji gotyku, aż do malarstwa narracyjnego XIX wieku. „Można by uwierzyć w konsekwencji, że całe powinowactwo jakiego dopatrują się krytycy angielscy pomiędzy sztuką wiktoriańską, a sztuką sowiecką, winno by tylko zwiększyć w ich oczach powab tej ostatniej; z całą słusznością należałoby przyklasnąć artystom sowieckim za to, że wyprzedzili przemianę doznań estetycznych na Zachodzie".

* * *

Jak bowiem rozróżnić w sztuce to co postępowe od tego co reakcyjne?"

„Nie ma mowy o rozstrzygnięciu tego problemu, jeśli dyskusja ograniczyłaby się do roztrząsania zagadnień formalnych i jeśli zachowano by zwyczaj oddzielania ocen odnoszących się do okresu powstawania sztuki, od tych które obejmują jej pełny rozwój". Zmiana bytu spowodowała nową postawę wobec rzeczywistości: ta postawa domaga się z kolei swego wyrazu. Formy odpowiednie dla wyrażenia tej nowej treści nie dadzą się pogodzić ze stylem poprzednim: rozwijają się więc w styl nowy. Okres rozwoju, kiedy forma sztuki nie jest jeszcze współmierna do jej zawartości, trwa długo, w przeciwieństwie do okresu dojrzałości, często bardzo krótkiego: „Skoro już treść jakiegoś stylu najdokładniej została wypowiedziana, wyłania się nagląca potrzeba wyrazu: zainteresowanie artysty zwraca się coraz bardziej ku próbom czysto formalnym..."

„Podczas wielkich przełomów w historii sztuki, kiedy kończy się jeden cykl a zaczyna inny, sytuacja wygląda następująco: ciągle jeszcze panuje styl chylący się do upadku, styl, który charakteryzuje skrajna złożoność, różnorodność techniki, wielka dojrzałość formy i zanik wszelkich cech treści. Z drugiej strony pionierzy rodzącego się stylu buntują się przeciw formalizmowi, troszcząc się głównie o krzewienie nowej treści, która ma dla nich znaczenie zasadnicze. Bez wątpienia przeżywamy dziś podobny okres".

Brak treści, umyślne przemilczania w wyrażaniu jakiejś postawy bez względu na to jaka ona jest w rzeczywistości, wybór obiektów najbardziej płaskich jako neutralnych baz dla pasionujących poszukiwań formalnych — oto sens twórczości artystycznej po 1870 r."

Afirmacja nowej wiary w sposób szczery i niemiłe dla krytyki burżuazyjnej kategoryczny — oto sens sztuki sowieckiej.

Spróbujmy tedy zrozumieć dlaczego ta nowa wiara przyobleka się w formy, które krytycy określają jako „przestarzałe".

* * *

Sądząc, że zachodzi tu zmiana o znaczeniu drugorzędnym, jak okres impresjonizmu, czy postimpresjonizmu, dalibyśmy dowód zupełnego niezrozumienia tego, co dzieje się w rzeczywistości: „Między dwoma cyklami ogromnego znaczenia leży przepaść równie głęboka jak między sztuką antyku, a sztuką średniowiecza". Malarstwo katakumbowe wydawało się tak samo naiwne i niezdarne wykształconym Rzymianom; lecz malarstwo to czerpało z nowej treści, której potrzeby wyrazu symbolicznego i duchowego, były najzupełniej sprzeczne z naturalizmem sensualnym stylu klasycznego. Rzymianin, przywykły do sztuki Cesarstwa mylił się widząc w malarstwie katakumbowym znak upadku; nie rozumiejąc tego wcale był świadkiem narodzin nowego stylu, który osiągnął swą dojrzałość w Rawennie i Konstantynopolu i doszedł do szczytu sławy w sztuce średniowiecznej.

* * *

Trzeba jeszcze dodać, że w tym okresie przerwy cenną pomocą dla tworzących się nowych form wyrazu są poprzednie fazy sztuki, ściślej, pewne ich pomijane elementy, które odpowiadają własnym dążeniom nowej epoki.

Z tego punktu widzenia można by uzasadnić powinowactwo między malarstwem wiktoriańskim, a malarstwem sowieckim, — zgodnie z myślą autora — wyszedłszy od analogicznej wiary: wiary w postęp, dumy pokolenia niezwykle twórczego, uparcie demokratycznego. „To co pochłania najbardziej pisarzy i artystów okresu wiktoriańskiego, podobnie jak artystów sowieckich, to nowy człowiek, twórca i twór nowego przemysłu, jego uczucia i wierzenia, walki i osiągnięcia". Są to elementy, które intelektualiści obecnej, chylącej się na Zachodzie ku upadkowi generacji lekceważą, lub ośmieszają, jako wywodzące się z uczucia.

Jednakże, jeśli bacznie przyjrzymy się treści tej „uczuciowości" paralela między sztuką wiktoriańską a sztuką sowiecką zanika nagle. Z drugiej strony odkrywamy nowy, krańcowo różny element, „dzięki któremu sztuka sowiecka nabiera cech zgoła nowych, nieznanych dotychczas w historii". Autor wywodzi to spostrzeżenie z przykładu: sztuka wiktoriańska daje nam obraz cierpień i goryczy pracującego człowieka, wynikających z poczucia, że jest on niejako odtrącony od godności życia, lub też odsłania przed nami postawę chłodno rejestrującą i w końcu anegdotyczną artysty, który wie, że praca jest fundamentem społeczeństwa, lecz patrzy na pracujących od zewnątrz. W przeciwieństwie do tego w sztuce sowieckiej widzimy dumę i uniesienie, uczucia, które artysta podziela dzięki wspólnocie tego samego celu. Oto dlaczego nie ma anegdoty w sztuce sowieckiej.

* * *

Sądy wypowiadane o sztuce sowieckiej winny więc brać pod uwagę fakty następujące: po pierwsze, że forma — „przynajmniej w naszych oczach, oczach ludzi Zachodu — jest jeszcze niewspółmierna do treści wspaniałej i nowej"; po drugie, że nasz sąd jest jeszcze siłą rzeczy zabarwiony idealizmem, ponieważ socjalizm jest dla nas abstrakcją wtedy gdy w rzeczywistości jest on sprawą codzienną, elementem przenikającym do wszystkich dziedzin życia człowieka w Związku Radzieckim, najbardziej nawet konkretnych i elementarnych.

„W tym stadium dyskusja abstrakcyjna o relacjach między formą a treścią przestaje być owocną. Aby zrozumieć zagadnienie należy przejść do konkretów i wziąć pod uwagę trzeci czynnik: realnego człowieka, dla którego tworzy się tę sztukę, człowieka, który jest odbiciem żyjących doświadczeń... Dziedzina sztuki stanęła przed nim otworem po raz pierwszy: ma do niej stosunek entuzjastyczny; potrafi jednak wypowiedzieć swe uczucia tylko w zrozumiałej dlań formie. Nawet jeśli współczesne formy zgadzałyby się z treścią socjalistyczną, skrajna ich złożoność i wyrafinowanie byłyby obce większości obywateli sowieckich, tak jak są obce większości ludzi ze świata kapitalistycznego bez względu na klasę z której pochodzą. Formalizm zachodni byłby więc przeszkodą równie wielką dla wypowiedzenia się socjalizmu w sztuce sowieckiej w jej stadium obecnym, jak styl klasyczny z jego sensualizmem dla chrystianizmu na początku ery chrześcijańskiej".

Autor dochodzi do wniosku: „Sztuka sowiecka znajduje się w początkach swego rozwoju... to że cały lud energicznie domaga się prawa do korzystania ze sztuki we wszystkich jej formach, jest wielkim osiągnięciem naszej epoki. Możemy być pewni, że zarówno ważność oceny ze strony ludu, jak i jakość formalna sztuki, będą rozwijać się krok za krokiem razem z treścią tej sztuki, — pulsującej krwią rzeczywistości sowieckiego życia".

J. G.

„Partyzantka Sowiecka"
Exposition des peintres de l'U.R.S.S.

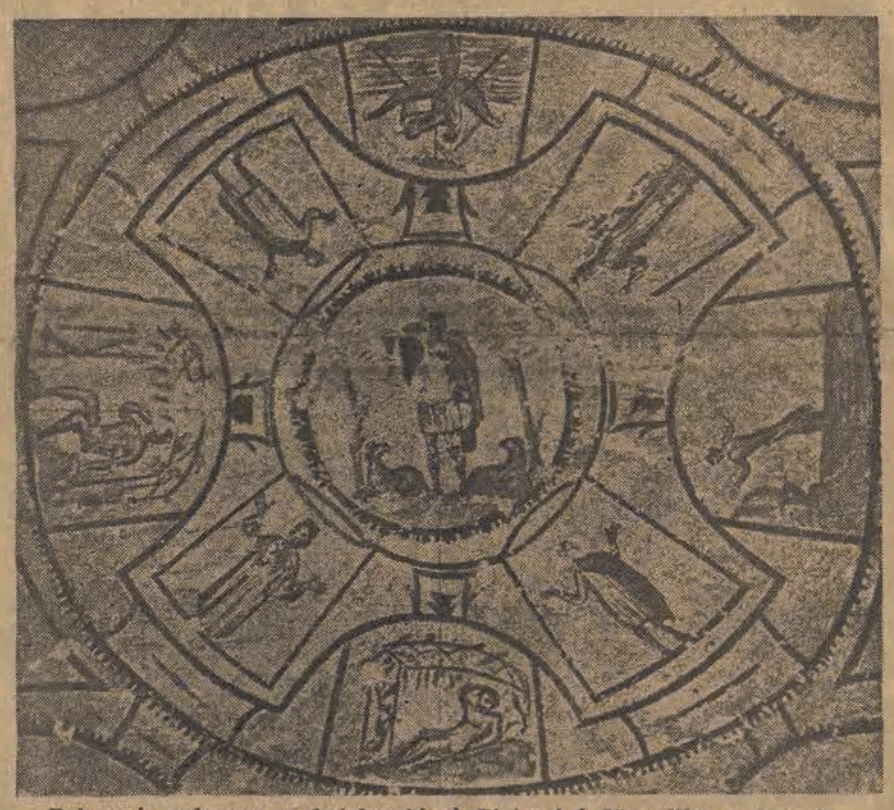

Dekoracja pułapowa w katakumbie ś. Piotra i ś. Marcellina w Rzymie

James Me Neil Whistler: portret matki

*) Z artykułu zamieszczonego w Nr 6 „Arts de France". Paryż 1946.

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Ukazał się już nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego" 8—9 (10—11) z następującą treścią:

J. Hochfeld — Rachunek sumienia.
Cz. Bobrowski — Ekonomika i polityka w Planie Odbudowy.
T. Głowacki — Polityka zagraniczna USA.
W. Skowron — Ziemie Odzyskane.
A. Kwiatkowski — Administracja państwowa a gospodarka planowa.
S. Szwalbe — Ruch socjalistyczny wobec pracowników nauki.
A. Kuryłowicz — Wspomnienia o Norbercie Barlickim.
Kartki z historii socjalizmu:
J. Durko — Józef Montwiłł - Mirecki
J. D. — Zamach na „Pierzynę".
S. P. — Norbert Barlicki.
Na horyzoncie:
W Polsce, w ZSRR, w Europie, za morzami.
Idee — myśli — zagadnienia:
K. Dorosz — Uwagi o Narodach Zjednoczonych.
M. Elczewski — Kierownictwo przedsiębiorstwa państwowego.
M. Rybicki — Społeczne oblicze sądownictwa polskiego.
St. Płoski — Terror jako metoda rządów niemieckich w Polsce.
L. Bukowiecki — Fotogeniczność literatury.
M. Drobner — O upowszechnieniu muzyki.
A. Anhalt — Z literatury marksizmu.
Z życia partii.
Książki i czasopisma nadesłane.
Notatnik referenta.

Cena zł 20
Adres Redakcji i Administracji. Warszawa, ul. Wiejska 18.

PRZEGLĄD PRASY

Likwidatorstwo w zakresie jakichkolw.ek poczynań kulturalnych w naszych obecnych warunkach gwałtownej emancypacji młodych klas społecznych byłoby oczywistym nonsensem. Książek dobrych i czasopism rzetelnie informujących o tym wszystkim, co się dzieje w dziedzinie kultury i sztuki ciągle jest za mało. Dlatego też na wieść o projektowanym wydaniu jeszcze kilku pism literackich nie mogę, jeśli chcę być w zgodzie z rozsądkiem, napisać w tej kronice poświęconej sprawom czasopiśmiennictwa: nie pozwalam.

Wolno mi natomiast przedstawić obiektywnie stan rzeczy istniejący w chwili obecnej w dziedzinie czasopism typu literacko-społecznego, wolno mi również wyprowadzić odpowiednie wnioski z tego stanu rzeczy.

Obiektywny stan rzeczy w ogólnikowym zarysie przedstawia się następująco: początkowy okres „lubelski" kontentował się jednym pismem społeczno-literackim. Rzecz zrozumiała, ze względu na ówczesne warunki i terytorium. Dodajmy do tego niewielką ilość piszących na terenie Lublina oraz nastrój politycznej jedności. Lubelskie „Odrodzenie" zaspakajało całkowicie w owym czasie pisarzy i czytelników. Sielanka musiała ulec zmianie z chwilą, gdy całe terytorium państwa zostało uwolnione spod okupacji, z chwilą gdy automatycznie zwiększyła się ilość czytelników i powrócili do pracy pisarze przebywający dotąd pod okupacją. Prasa periodyczna powoli rosła liczebnie. Rzecz zrozumiała, że ambicją wszystkich na nowo po wojnie sformowanych (naturalnie czy sztucznie) ośrodków kulturalnych było wydawanie własnych pism literackich. W wielu wypadkach ukazanie się takich pism było podyktowane względami zasadniczymi, względami polityki kulturalnej: myślę tu o Śląsku. Te pozycje są istotnie ważne i celowe, inna sprawa, że można by kłócić się z redakcjami tych pism, czy prowadzą politykę kulturalną po linii słusznych potrzeb. Polemiki w tych sprawach prowadzone były niejednokrotnie i sądzę, że wynik ich był pożyteczny dla obu stron.

Z drugiej zaś strony byliśmy świadkami powstawania pism literackich w ośrodkach takich, jak np. Lublin, a więc na terytoriach, które nie posiadają swojej specyfiki kulturalnej, które mogą i powinny być traktowane na tych samych prawach co dwa duże ośrodki kulturalne: Kraków i Łódź — w tym stanie rzeczy Lublin powinien był albo stworzyć naprawdę wartościowe pisma albo też zrezygnować z nich na rzecz współpracy czy to z Krakowem czy z Łodzią. Wartościowych pism, jak wiem, Lublin nie wydał. Nie były takimi pismami ani „Zdrój" ani wydawana w Chełmie Lubelskim „Kamena". Współpraca pisarzy osiadłych w Lublinie z pismami Łodzi czy Krakowa dałaby dużo lepsze rezultaty.

Pisma ukazujące się w innych ośrodkach nie wnoszą nic nowego do naszej literatury i kultury, często lektura ich sprawia wrażenie, że terminy z którymi radzibyśmy wszyscy skwitować: „centrum" — „prowincja", są przecież terminami ciągle jeszcze pełnymi treści.

Niewątpliwą i całkowitą rację istnienia mają pisma, które reprezentują rozmaite, często bardzo różniące się od siebie odcienie myśli katolickiej.

Ten, kto przyjrzał się uważnie literackim pismom francuskim, może stwierdzić z łatwością, że poziom kilku naszych pism tygodniowych nie jest wcale niższy od poziomu pism francuskich. Istnieje między nimi jedna tylko różnica: tych kilka tygodników o których myślę odpowiada francuskim miesięcznikom. Pisma tygodniowe w Polsce przyjęły na siebie obowiązki miesięczników z dwóch chyba powodów: stnieje jedno tylko pismo literackie ukazujące się jako miesięcznik („Twórczość"), problemy, które są w tej chwili rzeczywiście istotne i interesujące czytelnika przekraczają znacznie objętość charakterystycznych dla tygodniowego pisma felietonów. Tę cechę naszych kilku tygodników poczytałbym raczej za cechę wybitnie dodatnią.

Gdyby sytuacja ułożyła się w ten sposób, że pisma literackie istniałyby zgodnie z linią podziału ideologicznego i w proporcji do ilości pisarzy nie mielibyśmy do czynienia z wciąż zwiększającą się ich liczbą. Śmiem twierdzić, że istniejące dotychczas czasopisma literackie zaspakajają rynek całkowicie, że jeśli czego brak dzisiaj to raczej piszącego niż czytelnika. Przykłady „Zdroju", „Kameny" i innych powinny raczej działać odstraszająco. Tymczasem wydaje mi się, że nie tylko każde skupisko pisarzy rade by mieć własny organ, lecz, że pisma tworzy się nawet dla specjalnych zagadnień. Trzy numery „Pokolenia" poruszające się, jak w kole kredowym, w kręgu zagadnień stosunku b. bojowców AK do rzeczywistości polskiej, jest tego wybornym świadectwem. Nie świadczy to bynajmniej, że nie doceniam wagi tego pierwszorzędnego zagadnienia, przeciwnie, zdaje mi się, że artykuły te, zamieszczone w „Odrodzeniu" czy „Kuźnicy" wywołałyby żywszą dyskusję i dotarłyby do szerszych rzesz czytelniczych.

Weźmy skolei następny dziwoląg: ukazują się dwa pisma poświęcone sprawom teatru. Jedno z nich reprezentuje, jak mi się wydaje, oficjalne opinie, drugie — opinie pisarzy. Nieporozumienie tkwi w tym, że nie możemy sobie pozwolić na luksus nieobowiązującego mówienia o sprawach teatru, że niewątpliwie jedno centralne pismo teatralne miałoby większy wpływ na to, co się w teatrach dzieje.

Przykład Warszawy, poważnego dziś ośrodka literackiego i kulturalnego, świadczy wyraźnie o tym, że nie wszystko jest w porządku w dziedzinie czasopism. Ani bowiem „Warszawa", ani dodatek literacki „Gazety Ludowej" nie są wiernym odbiciem naszego życia literackiego. Jeśli zostaną zrealizowane zamierzenia wydawnicze, Warszawa zamiast „Warszawy", a raczej obok niej, otrzyma dwa nowe pisma literackie. Rzecz jasna, że z trzech pism dwa nie będą mogły się utrzymać, a jeśli nawet będą nadal wychodzić, to treść ich nie wiele różnić się będzie od „Warszawy".

Tworzenie nowych pism literackich reprezentujących ideologię lewicową nie ma celu. Rozdrabnianie bowiem sił byłoby marnotrawstwem — wystarczy sprawdzić listę piszących, by zorientować się, jak szczupłe są szeregi, i to zarówno po tej i tamtej stronie ideologicznej barykady. Można oczywiście prowadzić politykę drukowania każdego, kto się nawinie. Skutki tej polityki bywają jednak opłakane. Wystarczy przejrzeć szpalty niektórych tygodników, by się o tym przekonać.

Jeśli czego nam trzeba w tej chwili, to nie nowych trzydziestu czasopism, a jednego poważnego pisma literackiego w Warszawie, pisma, nie wstydźmy się tego powiedzieć, eklektycznego, biorącego mniejszy udział w sporach ideologicznych, bo pisma tego typu istnieją, lecz za to dokładnie informującego nas o sprawach kulturalnych zagranicą i o dorobku krajowym. Powstanie takiego pisma pozwoli pismom ideologicznym, bez, rzecz jasna, rezygnowania z druku prac literackich, na prowadzenie żywszych i owocniejszych dyskusji. Wzrastająca natomiast stale ilość czasopism jest raczej zjawiskiem niepokojącym. Wzrost ten bowiem odbywa się, jak łatwo to można zauważyć, kosztem jakości.

W miarę tego, jak redakcyjna poczta przynosi mi coraz to nowe czasopisma, staję się wiernym czytelnikiem pism dawnych, pism obrosłych w tradycję. Wrześniowa „Twórczość" (nr 9) prezentuje nam typ doskonałego miesięcznika literackiego. Niewątpliwie „Twórczość" jest pismem eklektycznym, ale w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ten eklektyzm tworzy z niej almanach polskiej literatury. W numerze wrześniowym, który otwiera piękny wiersz Czesława Miłosza „Dwaj w Rzymie" znajdujemy interesujący debiut prozatorski Wilhelma Macha. W okresie triumfu łatwego reportażu w prozie, fragment powieści Macha należy powitać z uznaniem.

Poza tym w numerze znajdujemy wypowiedź reprezentantów młodej plastyki polskiej na temat malarstwa. Tadeusz Kantor i Mieczysław Porębski wypowiadają credo młodych plastyków polskich w sensie obrony wartości sztuki abstrakcyjnej przeciwko najazdowi naturalizmu i pochodnych kierunków. Autorzy artykułu podkreślają intelektualną postawę młodych plastyków i solidarność z ideologią demokracji, jednocześnie jednak oponują przeciwko próbom wulgaryzowania plastyki i bronią wielkich zdobyczy malarstwa nowoczesnego.

„Twórczość" jest jednym z niewielu pism literackich, które poświęca wiele miejsca plastyce. Ta symbioza literatury i plastyki dawała niejednokrotnie doskonałe wyniki, sądzę więc, że artykuł Kantora i Porębskiego będzie miał echo nie tylko wśród plastyków.

Podkreślałem niejednokrotnie wartość reportaży Franciszka Gila (drukowanych w „Odrodzeniu"). Z tym większą satysfakcją podaję do wiadomości moich czytelników, że w nr. 41 „Odrodzenia" Franciszek Gil zamieścił reportaż o zjeździe działaczy ludowych, b. wychowanków uniwersytetów w Gaci i w Szycach. „Kalosz proletariusza i pancerz chłopa", tak bowiem brzmi tytuł tej pracy, zasługuje zresztą na inne miano niż reportaż. Jest to bowiem świetny artykuł polityczny, w którym autor precyzyjnie analizuje sytuację chłopstwa w nowej Polsce, odsłaniając z wielkim taktem proces starzenia się duńskiej koncepcji odrodzenia wsi, stanowiącej w obecnej sytuacji, w jakiej dzięki wielkiej reformie znalazła się wieś, oczywisty anachronizm. Precyzyjność analizy stanowisk i ideologii ludowych, stosunek klasy robotniczej do warstwy chłopskiej i współzależności tych dwóch wielkich warstw społecznych w procesie emancypacji, charakterystyka przeżywanego przez nas okresu „łagodnej rewolucji", wszystko to stanowi treść tej pracy, napisanej nie tylko z wielkim umiarem i taktem, lecz i z dużym talentem literackim.

ph.

Z WYDAWNICTW

Stanisław Knauff: Wojna zaczęła się w Gdańsku. Wyd. PZWS, Warszawa, 1946.

Wojna, której początkiem był dla świata dzień pierwszy września, w Gdańsku zaczęła się już kilka miesięcy przedtem. Nigdzie indziej nie dawała się też tak wyraźnie odczuć w owych przedwrześniowych miesiącach 1939 roku, jak właśnie w Wolnym Mieście. Autor przedstawia nam zdarzenia, które przeżył (z wyjątkiem opisu obrony Westerplatte) osobiście. Ich wartość historyczna jest tym większa, że Stanisław Knauff był urzędnikiem b. Komisariatu Generalnego RP w Gdańsku, a fakty przezeń opisywane, choć miały miejsce na przełomie pokoju i wojny są naogół nieznane.

A więc wojna w Gdańsku zaczęła się już ostatecznie w drugiej połowie sierpnia. Pociągiem, którym autor 23 sierpnia zdążał na rozkaz władz do Wolnego Miasta jechał prócz niego jeszcze jeden człowiek — pociągi do Warszawy natomiast były przepełnione uciekinierami Polakami. Nieprzerwana strzelanina, coraz częstsze wystąpienia antypolskie i ciężka, pełna podniecenia atmosfera nie pozostawiały żadnych złudzeń. Wierzyła jeszcze tylko Warszawa, nie zezwalając na ewakuację urzędników. Dzień 31 sierpnia zastaje więc jeszcze wielu Polaków w Gdańsku — zostali kolejarze, pocztowcy, straż portowa, „W odległych wioskach gdańskich, samotni i zewsząd osaczeni pełnią, już tylko nominanie, swą ciężką służbę celnicy. Jest wiadome, że tym nie przepuszczą. Więc idzie do Warszawy propozycja wycofania, ewakuacji. Warszawa się oburza: jakto, dlaczego? Powinni wytrwać! Więc trwają aż do zgonu!" Zgon miał nastąpić rychlej niż przypuszczano. Kilka godzin po telefonie z Warszawy, że w sytuacji politycznej następuje odprężenie pierwsze oddziały niemieckie przekroczyły Nogat, a gdy Wojska Rzeszy wkraczały w zachodnie ziemie Rzeczpospolitej w Gdańsku odbywały się już pierwsze egzekucje Polaków. Z całego terenu Gdańska, a później i z Kaszub zwożono ich — pobitych i zmaltretowanych — do gdańskiej Victoria Schule, gdzie każdy „z miejscowych Niemców... miał prawo przyjść wyszukać sobie upatrzoną ofiarę i skatować do-woli. Skorzystało z tego przywileju bardzo wielu". To były pierwsze godziny rozładowywania się niemieckości, drzemiącej dotąd w mieszczuchach gdańskich. To były pierwsze, jakże rozkoszne dla zwycięzców, chwile napawania się ludzką męką i bólem. Trzymała się jeszcze Poczta Polska, ale wkrótce miała paść, a nieliczni pozostali przy życiu obrońcy, przeważnie ranni, zostali na miejscu zamordowani. Jeszcze trzymało się Westerplatte, by przez cały tydzień ratować honor Polski, ale cóż z tego, jeśli „milczały działa na Helu,... ani jeden samolot nie pojawił się nad miastem, ani jedna bomba nie spadła z pogodnego nieba na to „gniazdo morderców". Natomiast rozpoczynał już swoją pracę obóz w Stutthofie, dokąd skierowano tych Polaków, którzy przetrzymali tortury Victoria Schule. Dzięki interwencji dyplomatycznej b. Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, prof. Burchardta zostali zwolnieni urzędnicy Kom. Generalnego R. P. i odstawieni do granicy litewskiej, w Tylży. W ten to sposób autor uniknął śmierci, która czekała wszystkich Polaków mieszkańców i obywateli gdańskich.

Mimo, że znane nam są dzieje i czyny niemieckich barbarzyńców, książeczka Knauffa jest bardzo ciekawym przyczynkiem historycznym. Jej wadą jest może tylko liryczno-impresyjny i zawiły styl, który nie licuje z treścią i powagą opisywanych faktów.

Dbałość o jasny styl i poprawną formę powinna być tu tym większa, że książka jest polecona przez Ministerstwo Oświaty dla bibliotek szkolnych.

Marginesowo porusza autor bardzo ciekawe zagadnienie zniemczonych Polaków gdańskich którzy nie wyzbyli się polskiej świadomości narodowej i nielicznych Niemców gdańskich, którzy — nieraz kosztem życia — wyrzekali się nie tylko brunatnego wandalizmu ale nawet przynależności do rasy panów. Wypadki takie bodajże właśnie na skutek swej rzadkości, są tak ciekawe, że brałaby ochota, by autor, jako jeden ze znawców terenu i zagadnienia temat ten szerzej rozważył.

Mariusz Margal.

Nowy zarząd oddziału łódzkiego ZZLP

W dniu 6 października 1946 r. odbyły się w Oddziale Łódzkim Związku Zawodowego Literatów Polskich wybory na których do Zarządu Oddziału wybrani zostali następujący pisarze:

1. Jan Brzechwa — prezes.
2. Juliusz Żuławski — wiceprezes.
3. Seweryn Pollak — sekretarz.
4. Kazimierz Brandys — skarbnik.
5. Stanisław Dygat — członek Zarządu.
6. Stan. Ryszard Dobrowolski — cz. Zarz.
7. Ryszard Matuszewski — czł. Zarządu.

Zacofane obyczaje Malagaszów

Od pewnego czasu publikuje „Przekrój" madagaskarskie reportaże Arkadego Fiedlera. W ostatnim odcinku swych opowiadań (Przekrój nr 78) nasz czarujący włóczęga podaje fakty tak rewelacyjne, iż przeoczenie ich byłoby ciężkim grzechem wobec kultury. Szczególnie socjologom-ludoznawcom i przyszłym biografom Fiedlera radzimy zapoznać się z umieszczonymi w wspomnianym piśmie fragmentami. Biografowie znajdą tam szczególnie ciekawy materiał do rozdziału: La vie intime d'Arcade Fiedler.

Sprawa wygląda mniej więcej tak. Jest słońce, bujna przyroda i Fiedler sam na Madagaskarze. Ciągle sam w palącym słońcu i wśród bujnej wegetacji. Dlatego też czuje brak i w ogóle. Pod wpływem tych uczuć chytrymi sposobami podróżnik uzyskuje od tubylców dar w postaci „kolonialnej żony". Prolog nocy poślubnej odmalowany jest wyraziście. Rano dziewczyna ucieka. Wobec tego Fiedler dostaje w zastępstwie jej siostrę („A to co, do licha!?" brzmi tytuł streszczonego rozdziału. I słusznie brzmi). Z tą siostrą sprawa podobna. Nie upilnował jej czujny Fiedler. Już, już zaczynamy się wstydzić za naszego rodaka, kiedy zagadka ucieczek zostaje wyjaśniona. Ciemne, niekulturalne dzikuski uczuły się dotknięte faktem stosowania przez Fiedlera antykoncepcyjnych środków będących chlubą naszej cywilizacji. Głupie dziewczyny chciały mieć dzieci.

Gwoli ścisłości. Fiedler nie miał nic przeciwko populacji. Zajmował stanowisko natury czysto antyinfekcyjnej.

Jak się rzecz rozstrzygnęła ostatecznie tego jeszcze nie wiemy. Wiemy natomiast doskonale, że trudno nam uwolnić się od wątpliwości czy istotnie pisarstwo Fiedlera straciłoby swą wartość, gdyby pozbawić je owych szczegółów alkowy. Proponujemy Fiedlerowi powrót do Kanady. Tam zimniej. Jeżeli jednak musi już zostać na Madagaskarze, niech koniecznie nosi tropikalny kask. Instrument ten doskonale podobno chroni głowę przed promieniami słońca.

mn

Książki zagraniczne

W księgarniach „Czytelnika" i innych dużych firm wydawniczych coraz więcej jest książek obcojęzycznych. Właściwie nie tylko w Warszawie, ale i w miastach prowincjonalnych można łatwo dostać prawie wszystkie popularne nowości francuskie i angielskie.

A jednak sprawy krążenia książek i wydawnictw między Polską i zagranicą nie są jeszcze uregulowane ostatecznie.

Skarży mi się w liście jeden ze znakomitych naszych poetów, człowiek rzetelnie i umiejętnie troszczący się o sprawy kultury, że styka się jako pracownik naszej placówki konsularnej w Ameryce z dużymi trudnościami w związku z wysyłką książek. Dotyczy to zdaje się prywatnych nadawców. Pomoc osób prywatnych — nie firm wydawniczych — przy wymianie druków jest bardzo ważna.

Nakłady książek zagranicą są tak małe, iż cenne wydawnictwa fachowe znikają z rynku natychmiast, odrazu przydzielane odpowiednim instytucjom naukowym. Wiem o tym z własnego doświadczenia. Czekam już rok, mimo przyjaznych starań wielu życzliwych dla mnie ludzi w Anglii i USA. Przy tego rodzaju (dla uczonego książki pierwszorzędnej wagi!) poszukiwaniach nie można liczyć na wydawnictwa. Taką rzadką książkę musi umiejętnie znaleźć fachowiec. Zwłaszcza, że wydawnictwa nie wiedzą po prostu jakich książek szukać mają z danej trudnej specjalności. A polski fachowiec nie może im dać wskazówek odcięty przez lata okupacji od bibliografii. Konieczna jest tu życzliwa pomoc znajomego, prywatnego fachowca zagranicą, który zna bieżącą produkcję ze swojej dziedziny, i wie co trzeba niezwłocznie wysłać badaczowi, chcącemu iść z postępem swojej wiedzy.

Źródło trudności tkwi tu w koniecznych zarządzeniach Ministerstwa Skarbu.

Trzeba jednak dla dobra kultury i nauki znaleźć jakieś wyjście. Choćby przez ogłoszenie oficjalne przez nasze placówki zagraniczne instytucyj, zakładów, seminariów, izb lekarskich i t.p., które swobodnie mogą otrzymywać według jakiegoś klucza rozrachunkowego przesyłki książkowe.

złk.

NOTY

Harold Laski o PSL

Harold Laski, przywódca angielskich socjalistów, drukuje w tygodniku „Forward" swoje wrażenia z odbytej podróży do Polski, w których ze zdumiewającą, biorąc pod uwagę krótki czas pobytu trafnością i godnym uznania obiektywizmem nakreśla wewnętrzną sytuację polityczną Polski, a szczególnie rolę, jaką w nowej organizacji państwowego bytu gra Polskie Stronnictwo Ludowe.

Laski określa PSL jako opozycję podwójną: wewnętrzną w łonie samego rządu, której przewodzi Mikołajczyk i w stosunku do rządu zewnętrzną, prowadzoną przez bogatych chłopów, powstałą burżuazję i przedstawicieli kościoła rzymsko - katolickiego z kardynałem Hlondem na czele. Jeżeli chodzi o opozycję zewnętrzną, to jest ona oczywiście nie zawsze zorganizowana w partyjnych ramach PSL-u. Laski orientuje się, że wszelkie odłamy wsteczne ze względów klasowych czy osobistych wrogo usposobione wobec programu realizowanego przez rząd polski jednoczą się dzisiaj mniej lub bardziej jawnie pod sztandarem PSL-u, którym lekkomyślnie wywija pan Mikołajczyk. Od działającego z ukrycia ale jawnie szerzącego skrajnie — faszystowskimi ideałami NSZ-u, poprzez szczególnie w Polsce zacofany kler, poprzez burżuazję różnych odcieni aż do wzbogaconego chłopstwa przeżartego okupacyjną demoralizacją i rozmyślającego nad wznowieniem Polski ziemańskiej, wszyscy widzą słuszne możliwości realizowania swoich programów w wypadku dojścia PSL-u do władzy. Nic więc dziwnego, że mimo postępowego na pokaz programu, PSL jest atrakcyjną partią dla wszelkich elementów wstecznych, ponieważ program nie na pokaz zmierza do odrodzenia Polski sprzed 1939 roku i wprowadzenia w razie zwycięstwa prawicowej dyktatury. To też niechęć do ZSRR, jak również antysemityzm, podstawowe instrumenty walki reakcji o swój wsteczny byt, krążą i rozwijają się w PSL-owskim świecie, ukryte za oficjalnymi wypowiedziami przywódców.

„Był to pierwszy pogrom w nowej Polsce — mówi Laski o wypadkach kieleckich — ale jeśliby PSL doszło do władzy, nie byłby ostatni". Pogromu tego kardynał Hlond nie potępił wcale, a Mikołajczyk wahał się z potępieniem trzy dni. Na zakończenie, Laski odsłania skryte za sztandarami interesów ludowych, oblicze PSL-u prawdziwie i dobitnie charakteryzujące Mikołajczyka:

Prawdziwe perspektywy PSL — to obezwładnienie robotników do czasu odbudowy ziemiańskiej Polski przeszłości w ramach półdyktatury prawicy. I to są perspektywy, podtrzymywane przez takich ludzi, jak Kardynał Hlond. Mikołajczykowi może się zdawać, że potrafi on uchronić Polskę przed taką tragedią. Co więcej — i to jest bardzo złe — chce on zostać premierem.

Nie jest on silnym człowiekiem (na którego łatwo mu było pozować w Londynie), walczącym za demokratyczne ideały. Jest słabym człowiekiem, użytym za przykrywkę dla celów, które bezwątpienia, są mu niemiłe, ale które — po zwycięstwie — musiałby przyjąć wobec alternatywy wygnania.

I wreszcie wyciąga ostateczne wnioski, w skali światowej:

I dlatego — według mego zdania — Londyn i Waszyngton wykazałyby mądrość, jeśliby uznały, że czas nawrotu do klasycznej demokracji w Polsce nadszedł. Jest to bardzo chory kraj i może tylko stopniowo powracać do zdrowia. Przede wszystkim potrzeba rozbrojenia zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych wrogów Polski. Po drugie — dodać otuchy rządowi przez zaniechanie doradzania dróg i środków, które sprowadzają się ostatecznie do stworzenia „cywilnych Piłsudczyków". Po trzecie — trzeba udzielić Polsce pomocy gospodarczej na wielką skalę długoterminowej.

Naprawdę czas, aby ministrowie spraw zagranicznych pojęli takie fakty jak: 1) że „cywilny Piłsudski" to jedynie wstęp do „wojskowego Piłsudskiego", i 2) że nie chcemy uczynić z Polski, uosobienia nieszczęścia, teatru trzeciej wojny światowej. Trzeba tu szybko wielkiej dozy realizmu, a czym prędzej przyjdzie on z Londynu Waszyngtonu, tym prędzej będziemy mogli zobaczyć uzdrowienie Polski". (w).

s.d.

Churchill w Szwajcarii

W związku z pobytem Churchilla w Szwajcarii i zgotowanym mu przez pewne koła owacyjnym przyjęciem, socjalistyczne pismo berneńskie „Berner Tagwacht" przypomina odważną postawę szwajcarskiego pastora Gerbera podczas wojny.

W roku 1943 pastor Gerber zamieścił w swoim piśmie „Odbudowa" artykuł, w którym zaatakował niemieckich „herrenmenszów", przedstawiając ich jako największe, śmiertelne niebezpieczeństwo dla Europy i całego świata. W tym samym artykule autor sugerował, że po wojnie Anglia i Ameryka nadal potrzebne będą, jako przeciwwaga przeciwko odrodzeniu się potężnych Niemiec.

Cenzura szwajcarska udzieliła wówczas autorowi artykułu nagany, motywując ją tym, że „argumentacja autora wychodzi z założenia" jakoby zwycięstwo Anglosasów było absolutnie zapewnione. To jednak stanowi przekroczenie paragrafu 2-a i równoznaczne jest poza tym z przejęciem brytyjskiej tezy propagandowej, według której Niemcy są śmiertelnym niebezpieczeństwem dla świata".

Pikantnym szczegółem tej całej historii jest fakt, że list, który pastor Gerber otrzymał od cenzury, podpisany był przez niejakiego pułkownika Chapuisat, tego samego pana, który jako filar Czerwonego Krzyża serdecznie witał Churchilla w Genewie. Pułkownik Chapuisat jest człowiekiem konsekwentnym...

bs.

Uduchowione PSL

Dziwną formę sprawozdań prasowych obrała sobie „Gazeta Ludowa". W numerze 277 z dnia 8 października r.b. między innymi napisano:

„Z zapartym oddechem wysłuchała Rada Naczelna tego przemówienia (p. Mikołajczyka — przyp. red.), tak świetnego, jakiego już dawno nie było nam dane słyszeć. Entuzjazm ogarnął słuchaczów, pomiędzy mówcą a salą powstało wysokie spięcie najpiękniejszych uczuć, duch jedności, ufności i wiary objął władzę nad umysłami uczestników zjazdu".

Zaprawdę, imponujące! Warto by tylko jeszcze magiczny stolik sprowadzić a konferencja Rady Naczelnej PSL zmieniłaby się w posiedzenie okultystyczne. I jeszcze inne duchy — dobre i złe — „objęłyby władze nad umysłami uczestników zjazdu".

Nazbyt duchowa, na mój chłopski rozum, polityka!

'jol'.

W konstelacji Raka

Krytyka u nas weszła w okres zupełnego upadku. Wychodzą nowe książki, pojawiają się nowe zjawiska w prozie i w poezji, o których krytyka nie umie nic rzeczowego, nic twórczego powiedzieć. Krytycy drzemią. Nawet jeden z najzdolniejszych essayistów Kazimierz Wyka przestał zajmować się książkami, i wraz z innymi królewiczami krytyki zapadł w sen krakowski, w którym podsłuchuje duchy poetów, usiłując naśladować ich styl i manierę jałowych w zamierzeniu tylko dowcipnych strofach.

Oto na przykład: Tetmajer w interpretacji naszego sprytysty:

Południa cudna to godzina,
Dusza by pomknąć chciała w dal —
Jak głaz ją więzi dawna wina,
Przygniata ból, zatruwa żal.

Dowcipny nawet w sprośnym żarcie, znakomity zawsze Boy, w interpretacji krytyka - poety zmienia się w odrażającego sutenera. Urocze strofy Boya potwornieją w podsłuchu Wyki:

Jęknęłaś czarnobrewo
Jak jakaś nimfa walna:
Odpinaj, drogi, w lewo,
Jestem o-ry-gi-nal-na...

Nic dziwnego, że przerażony tym stanem kultury literackiej w Polsce **kjw** w „Odrodzeniu" zakłada „szkołę krytyków" w rubryce pod tym tytułem poruszając różne zagadnienia związane z trudną sztuką pisania. Niestety, **kjw**, mimo dobrych chęci, cierpi na absolutną niemożność. Przykładem tej absolutnej niemożności jest jego felietonik na temat lirycznego żartu K. I. Gałczyńskiego: „Kolczyki Izoldy". **Kjw** bardzo uczenie wywodzi, jak to nowoczesna liryka nie nazywa uczuć wprost, jak „na miejscu wzruszenia właściwego pozwala się rozróść wzruszeniom ubocznym, peryferyjnym". Opierając się na tej podsłuchanej u kogoś teorii pomysłowy krytyk pasuje skecz liryczny Gałczyńskiego na oratorium narodowe, na poemat męczeństwa i bohaterstwa. Zdumiewająca jest łatwość, z jaką w oczach naszych krytyków byle kabaret zmienia się w Arkę Przymierza. Jak za czasów Wyspiańskiego, jak w poetyczych impresjach Kołaczkowskiego. Gałczyński nie zdziwi się, on to już znał, już przedwojną oenerowcy robili z niego wieszcza narodowego, za to tylko, że odwalał modne wówczas kawały antyżydowskie i modlił się o „noc długich noży" dla lewicy polskiej. Poczekajmy trochę, a usłyszymy o Gałczyńskim, nieustraszonym bojowniku demokracji. A on śmieje się w kułak, bo mu wszystko jedno:

Kto? Izolda? Pod Cecorą?
Demokracja, Kant dziadowski.
Nas z Krakowa nie nabiorą
Trzetrzewiński, Krupczałowski.

Tymczasem **kjw** bredzi na marginesie kawału Gałczyńskiego: „Po zwycięstwie Sobieskiego zawisła na firmamencie Tarcza Sobieskiego, gwiazdozbiór jego imienia. Bo gwiazdy i pomnik w nich są trwalsze nad marmury. Mało kto pamięta, że gwiazdy też podlegają ruchom, od jakich rozsypie się kiedyś kształt obecnych konstelacyj, a ułożą się nowe".

Istotnie nie pamiętamy, że gwiazdy podlegają ruchom, natomiast pamiętamy pewien wierszyk Heinego:

Helden wie der Held Sobieski
Wie Schelmuski und Umiński,
Eskrokewitsch, Schubinskki
Und der grosse Eselinski.

Dziwna przewrotność losu! Antypolski marsz Heinego przeobraża się u Gałczyńskiego w kant dziadowski.

Stwierdzamy z całym przekonaniem, że gwiazdozbiór Wyki oraz **kjw** wszedł w konstelację Raka.

rkm.

Jeszcze jedna książka francuska o Polsce

Książka R. Gary'ego „Education europeenne", której tematem jest życie partyzantów w Polsce pod okupacją niemiecką, doczekała się już u nas kilka wzmianek m. in. w „Odrodzeniu" i „Twórczości". Obecnie prasa francuska sygnalizuje ukazanie się nowej powieści na tematy polskie, której autorką jest młoda, 30-letnia pisarka Agnes Chatrier.

Powieść ta nosi tytuł „La vie des morts" i została odznaczona niedawno nagrodą krytyków (Le Prix des Critiques). „La Gazette litteraire" opatruje tę wiadomość komentarzem dotyczącym akcji powieści i genezy jej powstania. Anges Chatrier, córka zamożnych przemysłowców, przebywała przed wojną w kilku krajach europejskich m. in. w Niemczech, na Węgrzech, w Austrii, Rumunii, Anglii i Polsce. Przed rokiem wydała u Grasset'a swoją pierwszą powieść p.t. „Royaume intermediaire". W tej „opowieści o charakterze mistycznym" młoda powieściopisarka dała ilustrację następującej tezy: mężczyzna i kobieta nie potrafią nigdy zrozumieć, jaką krzywdę wyrządzają sobie nawzajem. Są obcy sobie jak wiatr zachodni i wiatr wschodni. Poprzez pośrednie królestwo cierpienia i błędu muszą odnaleźć w poświęceniu się możliwość porozumienia się i spełnienia". Cytat ten przynosi nam oprócz pewnej informacji o charakterze twórczości interesującej nas powieści zabawny przykład stylu, jaki nierzadko można spotkać we współczesnej prasie francuskiej. Coś pośredniego między nieobowiązującą impresją i anonsem reklamowym.

Na temat „La vie des morts" czytamy dalej:

„Książka opatrzona jest dedykacją: „Drogiej pamięci narzeczonego mego Romana Sikory, który padł w bitwie pod Falaise w sierpniu 1944 roku". Kapitan Sikora, biorący udział w walkach we Francji w 1940 r. przedostał się do Anglii po dwu latach pobytu w obozie hiszpańskim w Mirandzie. Wrócił, by walczyć o wyzwolenie Francji. Zginął w kilka dni po wylądowaniu, jako dowódca oddziału pancernego. Ale tematem książki „La vie des morts" nie jest kapitan Sikora. To dzieje całego narodu polskiego. „Akcja rozgrywa się w Warszawie w ośrodku walki podziemnej, w atmosferze wciąż zagrażającej śmierci, pośród walk, od których spłynęła krwią stolica Polski".

jh.

Jan Kott na tle Paryża i Żółkiewskiego

Jan Kott na tle Paryża i Żółkiewskiego

KOMUNIKAT

W ostatnich czasach dało się zauważyć we Francji żywe zainteresowanie polską literaturą, zarówno przedwojenną, jak i współczesną. Szereg poważnych francuskich wydawców zgłosiło się ostatnio do Związku Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS w Warszawie, o licencje na tłumaczenie na język francuski powieści Żeromskiego, Gojawiczyńskiej, Orzeszkowej, Hołuja i innych. Zainteresowano się również głośną już powieścią Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau".

W związku z powyższym, przybyła do Warszawy przedstawicielka ZAIKS-u w Paryżu, p. Z. Rudnicka-Łubieńska. Pobyt p. Łubieńskiej w Polsce potrwa około 10 dni. Wszyscy polscy autorzy ,a także i kompozytorzy, którzy mają do załatwienia jakiekolwiek sprawy z dziedziny prawa autorskiego na terenie Francji proszeni są o osobiste, bądź listowne skomunikowanie się z p. Rudnicką-Łubieńską pod adresem: Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, telefon 8-56-01.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
D—011113
Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.
Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.